

Rok XXXVII

Nr e-199 (395)

Maj 2023

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Herby, zakony, klasztory, kościoły	<i>Witold Komorowski</i>	3
Muzeum Ślązańskie im. Stanisława Dunajewskiego w Sobótce	<i>Rafał Śledzik-Kamiński</i>	10
Dzwon parafii pw. Wniebowzięcia NMP z Wojanowa powraca po prawie 75 latach na swoje pierwotne miejsce	<i>Ulrich Junker</i>	11
Autobusem na sudeckie wycieczki do Jarnołtówka w lutym 1959 r.	<i>Bartosz Skowroński</i>	12
Pomnik kantora Pohla z Miszkowic	<i>Marian Gabrowski</i>	15
Jeszcze raz o pomniku z Niedamirowa.	<i>Marian Gabrowski</i>	17
Dwieście dni w Górach Kaczawskich.	<i>Krzysztof Gdula</i>	18
SUDETY W POEZJI (5).	<i>Kornel Ujejski</i>	21

OJCZYZNE SZLAKI

Góra Tuł dobra na wiosnę (2)	<i>Mirosław J. Barański</i>	22
Obserwatorium Astronomiczne na Lubomirze ma już stuletnią historię	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	26
Wilcza Struga	<i>Juliusz Wysłouch</i>	30
Ruiny huty „Józef” w Samsonowie	<i>Krzysztof Miraj</i>	31
Trzydziestolatek, czyli „błoto jak złoto”	<i>Tomasz Kowalik</i>	33
Uroczyste, już 90. urodziny Koziołka Matołka!	<i>Stanisław Dziuba</i>	36
Wycieczki Marii Steczkowskiej – Morskie Oko	<i>Sebastian Jakobschy</i>	38

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Góry to nie tylko Tatry	<i>Juliusz Wysłouch</i>	40
55 lat od zejścia lawiny w Białym Jarze.	<i>Krzysztof Tęcza</i>	42
Otwarcie nowej stacji GOPR	<i>Krzysztof Tęcza</i>	44

TRASA MIESIĄCA

Ostaś w czeskich Górach Stołowych	<i>Krzysztof Tęcza</i>	45
---	----------------------------------	----

GLOBTROTER

Suła Dolna.	<i>Janusz Fuksa</i>	46
---------------------	-------------------------------	----

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Konkurs „Poznajemy Ojcowiznę” 2023	<i>Krzysztof Tęcza</i>	47
66. Ogólnopolski Rajd Narciarski Karkonosze 2023	<i>Krzysztof Tęcza</i>	49
Wiadomości o Dolnym Śląsku z 1947 r. (23).	<i>Józef Sykulski</i>	52

RECENZJE I NOWOŚCI

Zbrodnia w gorczańskiej Ochotnicy	<i>Tomasz Kowalik</i>	53
Nad morzem, na Monciaku, na molo	<i>Tomasz Kowalik</i>	54

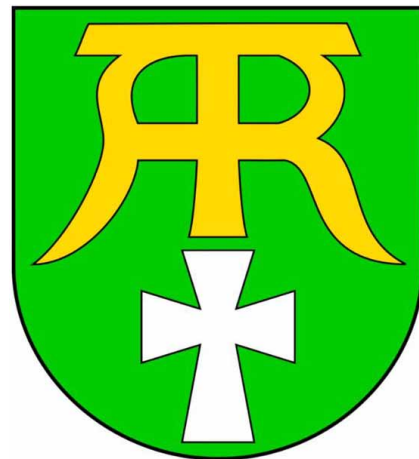
LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Pozwolenie na oddychanie, czyli głuszczy i ludzie	<i>Juliusz Wysłouch</i>	55
Borowy Jar, Bobrowy Jar czy Bobrzański Przełom?	<i>Jerzy K. Bieńkowski</i>	58

**Na okładce: Brzozy na stoku Maślaka w Górach Kaczawskich w wieczornym kwietniowym słońcu.
W głębi ośnieżone Karkonosze ze Śnieżką. Fot. Krzysztof Gdula**

Herby, zakony, klasztory, kościoły

W grudniu 2016 r. rada gminy Marcinowice (pow. świdnicki) uchwaliła nowy herb, który od tej pory jest używany w urzędowych piśmiech i na oficjalnej stronie internetowej <https://www.marcinowice.pl/>. Herb jest dość prosty, gustowny i łączy tradycję historyczną z... reklamą atrakcji krajoznawczych gminy. Zgodnie z opisem twórców „przedstawia w polu zielonym od czoła złoty monogram AR, a od podstawy srebrny krzyż pokutny”. Monogram AR jest symbolem klasztoru kanoników regularnych Najświętszej Maryi Panny we Wrocławiu (**augustianów**), który to klasztor był od średniowiecza właścicielem nie tylko Marcinowic, ale również dwunastu wsi leżących na terenie dzisiejszej gminy. Znak kamiennego krzyża pokutnego (pojednania) wskazuje zaś na mnogość tego rodzaju zabytków w okolicy – w całym powiecie świdnickim jest ich wybitne zagęszczenie, rekordowe na Dolnym Śląsku (zob. np. https://zabytkiprawa.pl/lib/vv15cr/WK_Kamienne-krzyze-i-kapliczki-kjod75d1.pdf).



Herb gminy Marcinowice
(wg [marcinowice.pl](https://www.marcinowice.pl/))



Wrocław. Najświętsza Maria Panna
z herbem augustianów

Kościół Najświętszej Marii Panny na Piasku we Wrocławiu położony na odrzańskim wyspie Piasek był ufundowany przez Marię Włostowicową i jej syna Świętosława w 1. połowie XII wieku pod łacińskim wezwaniem *Sancta Maria in Arena*, pochodzącym od kościoła św. Marii zbudowanego w miejscu dawnego cyrku w Padwie, jednak przyjęło się tłumaczyć *arena* jako piasek, co dało nazwę wyspie. Po objęciu kościoła i przylegającego doń klasztoru przez augustianów (ok. 1150 r.) przyjęli oni monogram złożony z dwóch pierwszych liter wyrazu „ARENA” jako symbol swego opactwa. Ten znak można teraz zobaczyć na odnowionym barokowym portalu dawnego klasztoru, po wojnie odbudowanego i zajmowanego do niedawna przez Bibliotekę Uniwersytecką: NMP w aureoli dziesięciu gwiazd stoi tu na cokole z pięknie wykutym herbem opactwa.

Ów symbol augustianów spotyka się też np. w Sobótce (w zachodnim szczycie kościoła św. Anny i w Muzeum Ślązańskim), Strzelcach, Zebrzydowie i Tyńcu Małym. Szczególne zaciekawienie turystów budzi herb opata na ścianie muzeum (dawniej szpitala): na kartuszu z infułą i pastorałem, poniżej charakterystycznego monogramu AR, umieszczono tu



Herb augustianów w Sobótce,
Strzelcach i Tyńcu Małym

wdzięcznie przedstawionego łabędzia, nawiązując do nazwiska fundatora Eliasza Shwanna (niem. *Schwann* = łabędź).

Oczywiście nie tylko augustianie w ten sposób oznaczali „swoje terytoria”; czyniły tak wszystkie zakony pojawiające się od średniowiecza dość licznie na zaproszenie miejscowych władców. Teraz, zwiedzając zabytkowe kościoły, powszechnie spotyka się znaki dawnych właścicieli/fundatorów, ale też działających w danym miejscu zakonów co, z drugiej strony, bywa zwodnicze w interpretacji ze względu na zachodzące w ciągu stuleci zmiany własnościowe aż do totalnej kasaty wszystkich zgromadzeń przez rząd pruski w 1810 r. Szczególnym miejscem, gdzie można śledzić różnorodność takich symboli, jest Wrocław z mnóstwem świetnych, głównie sakralnych zabytków przeszłości, jeżeli nawet zniszczonych w czasie ostatniej wojny, to teraz starannie odtwarzanych.

O wiele bardziej znanym herbem zakonnym niż augustiańskie AR, również literowym, jest symbol **jezuitów**. Zakon ten (oficjalna nazwa to Towarzystwo Jezusowe, łac. *Societas Jesu*, SJ) został założony przez Ignacego z Loyoli w 1534 r. i niebawem jako swój znak przyjął IHS z krzyżem nad literą H i trzema gwoździami u dołu; całość jest otoczona płomienistą glorią (nb. według pełnej symboliki ikony tzw. krzyża z San Damiano, często spotykanej głównie u franciszkanów, do ukrzyżowania Chrystusa użyto czterech, a nie trzech gwoździ). Skróć IHS bywał rozwijany jako *Iesus Hominum Salvator* (Jezus, Zbawiciel człowieka), a w odniesieniu do jezuitów jako *Iesus Humilis Societas* (Pokorne Towarzystwo Jezusowe), choć jego geneza jest zupełnie inna i sięga starożytności chrześcijańskiej, kiedy imię Jezus (greckie ΙΗΣΟΥΣ) zapisywano w skrócie ΙΗΣ (*jota, eta, sigma*). Później dość niefrasobliwie sigmę Σ zamieniono na S, pozostawiając niezmienny kształt dwóch pierwszych liter i w ten sposób powstała grecko-łacińska hybryda do dziś powszechnie spotykana jako najpopularniejszy chrystogram.

W historii sztuki jezuita kojarzą się – i słusznie – ze stylem barokowym; ich kościoły wznoszono właśnie w tym stylu, a te, które przejmowano, były barokizowane. Dobrym przykładem jest kolegiata Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Kłodzku pierwotnie zbudowana jako gotycka przez joannitów, a po wykupieniu w 1624 r. kościoła i komandorii przez jezuitów została przekształcona w jeden z najznakomitszych kościołów barokowych ziemi kłodzkiej. Po joannitach pozostał jedynie niewielki znak krzyża maltańskiego na południowej wieżycze schodowej i herb na pięknej XVI-wiecznej chrzcielnicy. We Wrocławiu jednolitą stylowo, barokową całość tworzy gmach główny uniwersytetu i przylegający do niego dawny kościół uniwersytecki. Barwny herb jezuitów umieszczono tu nad figurą św. Ignacego patronującego całej instytucji w ścianie południowego skrzydła budynku. Z kolei na drzwiach głównego wejścia, ponad wielkim dwugłowym orłem cesarza Leopolda I, który w 1702 r. powołał jezuitką *Academia Leopoldinae*, jest znak IHS kunsztownie uformowany z połączonych listków metalu. Najwyraźniejszy i rzucający się w oczy symbol jezuitki znajduje się we wschodnim szczycie kościoła i – żeby nie było wątpliwości – trochę mniejszy na chorągiewce wiatrowskazu na wieży. Takich znaków zakonnych, ale też samego chrystogramu IHS, niekoniecznie związanego z jezuitami, jest wyjątkowo dużo i spotyka się je nie tylko w kościołach (epitafia, ołtarze), ale i na różnych pomnikach i figurach przydrożnych, np. zbiegiem okoliczności w tym samym 1702



Wrocław. Św. Ignacy Loyola z herbem jezuitów



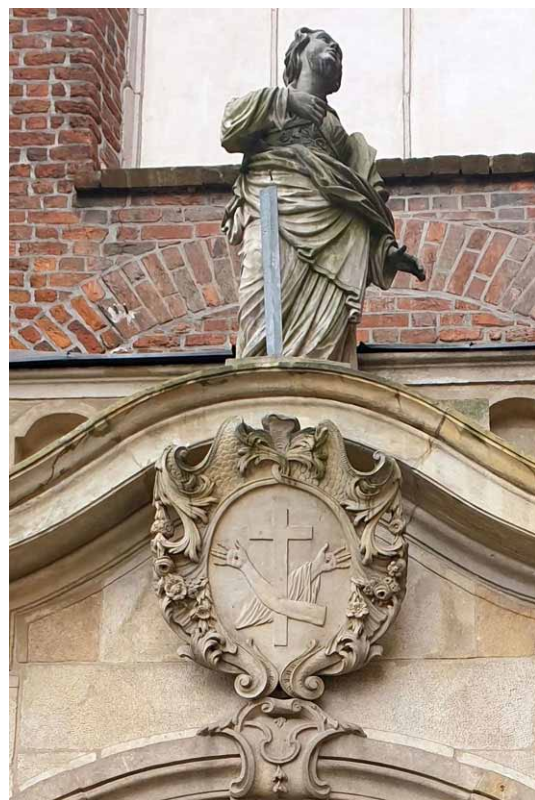
Herb jezuitów: szczyt kościoła uniwersyteckiego, drzwi uniwersytetu, cokół kolumny w Kochanowie

roku powstała w małym Kochanowie (pow. kamiennogórski) kolumna maryjna, jakich do dziś jest wiele, na której fundator umieścił serce gorejące z jezuickim herbem.

O ile symbole augustianów i jezuitów mają graficzny charakter monogramu, to zupełnie inaczej wygląda herb **franciszkanów** będący kompozycją wręcz naturalistyczną. Franciszkanie, czyli Zakon Braci Mniejszych (łac. *Ordo Fratrum Minorum*, OFM) był założony w 1209 r. przez Francesco Bernardone z Asyżu i jest do dziś jednym z największych zakonów katolickich. Jego herb używany od końca XV w. przedstawia dwie ręce wyłaniające się z obłoków – jedną Chrystusa i drugą, w habitie, św. Franciszka oraz krzyż między nimi. Na obu dłoniach są rany – po gwoździach Ukrzyżowanego i ślady stygmatów Franciszka. Taki herb okazałych rozmiarów widać np. u stóp patronki nad północnym wejściem do kościoła św. Doroty, Stanisława i Wacława we Wrocławiu (tu smutna uwaga: co pewien czas ten posąg, zapewne z powodu metalowego miecza jest niszczone – nie wiadomo czy przez złomiarzy, czy też innych wandalów, „bezinteresownych”). Również wewnątrz znajdują się realizacje tego znaku w stiuku nad zakrystią i w snycerskim wykończeniu zaplecków stall. Bardzo oryginalny, dużych rozmiarów herb, już się nieco łuszczy, bo wykonany z tynku(?) jest umieszczony w Kłodzku na narożniku domu przy ul. Grottera przylegającego do tamtejszego kościoła franciszkanów.

Innym, bardziej subtelnym znakiem franciszkańskim, wcześniejszym niż obecny herb, jest tzw. „tauka”, czyli specyficznie ukształtowana grecka minuskuła τ (*tau*). Ten znak nie występuje w architekturze, a raczej można go znaleźć w sklepach z dewocjonaliami w postaci wisiorów, przypinek czy nadruków. Pełni on także rolę popularnego loga firmującego rozmaite akcje zakonne; np. ostatnio pojawił się na afiszach jubileuszu 800-lecia Franciszkańskiego Zakonu Świeckich (tercjarzy) w Polsce. Już św. Franciszek umieszczał *tau* jako swój podpis na listach i dokumentach – prawdopodobnie pod wpływem współczesnego mu papieża Innocentego III, który uważał, że forma tej litery przedstawia krzyż dokładnie taki, jakim był przed przybiciem tabliczki ze słynnym *titulus crucis* Piłata (tzw. krzyż św. Antoniego). Ponieważ grecka majuskuła *tau* jest identyczna z łacińskim T, dla odróżnienia franciszkańska „tauka” ma postać małej litery.

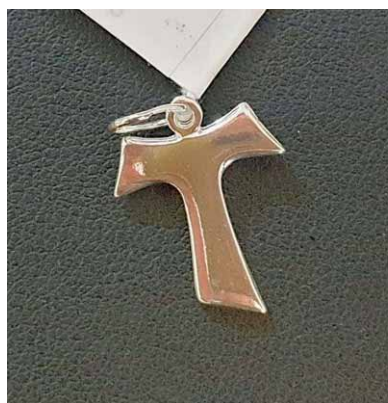
Kolejny zakon, który też niedawno świętował 800-lecie, to **dominikanie**, czyli Zakon Kaznodziej-ski (łac. *Ordo Praedicatorum*, OP) założony w 1216 r. przez Dominika Guzmána w Tuluzie „dla zwalczania herezji i schizmy”. Polska prowincja dominikanów powstała w 1228 r. dzięki działalności Jacka (ogłoszonego świętym w 1594 r.) i jego kuzyna Czesława Odrowążów. Bł. Czesław był nie tylko założycielem



Wrocław. Św. Dorota z herbem franciszkanów



Herby franciszkanów w kościele św. Doroty i na budynku w Kłodzku



„Tauka” jako gadżet jubilerski i jako tabliczka z adresem w Kłodzku

Kolejny zakon, który też niedawno świętował 800-lecie, to **dominikanie**, czyli Zakon Kaznodziej-ski (łac. *Ordo Praedicatorum*, OP) założony w 1216 r. przez Dominika Guzmána w Tuluzie „dla zwalczania herezji i schizmy”. Polska prowincja dominikanów powstała w 1228 r. dzięki działalności Jacka (ogłoszonego świętym w 1594 r.) i jego kuzyna Czesława Odrowążów. Bł. Czesław był nie tylko założycielem

Wrocław. Krzyż dominikański w szczycie kościoła św. Wojciecha

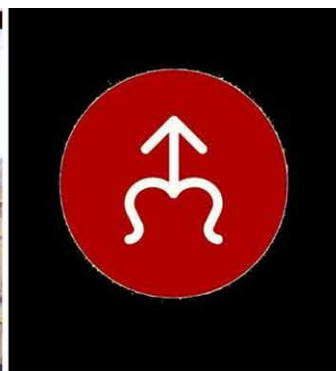
i pierwszym przeorem klasztoru we Wrocławiu, ale również tutaj zmarł w 1242 r. W 1718 r. zbudowano przy kościele św. Wojciecha (uzyskany kiedyś przez Czesława od joannitów) barokową kaplicę i umieszczono w niej jego alabastrowy bogato rzeźbiony sarkofag. Po wojnie powszechne zdumienie budził fakt dobrego zachowania kaplicy mimo wielkich zniszczeń samego kościoła.

Herbem dominikańskim jest czarno-biały krzyż z cieniowanymi naprzemiennie ramionami, co daje wrażenie trójwymiarowości. Taki właśnie plastycznie uformowany miedziany krzyż zamontowano w zrekonstruowanym zachodnim szczycie kościoła stojącego przy pl. Dominikańskim we Wrocławiu. W Polsce powszechnie spotykanym znakiem jest uproszczony szlachecki herb Odrowąż – wg jednego z herbarzy: „w polu czerwonym strzała biała, z końcami na obie strony zakrzywionymi”. Ten herb w wersji barwnej znajduje się nad tablicą pamiątkową bł. Czesława w jego kaplicy, a w postaci uproszczonej

– wykuty w kamiennym zworniku nad wejściem do niej od strony nawy kościoła. Obecnie w wydawnictwach i na stronach internetowych ta ostatnia, graficznie elegancka wersja, jest powszechnie używana jako charakterystyczne, łatwo rozpoznawalne logo zakonu.

Dłuższą niż 800 lat historię mają zakony rycerskie powstałe w okresie wojen krzyżowych – templariusze, krzyżacy czy joannici. Po templariuszach pozostały na Śląsku niewielkie ślady, raczej legendowe, jak

np. tajemnicze płyty kamienne w Zielenicach (pow. strzeliński), natomiast **joannici** (kawalerowie maltańscy), którzy swoje komandorie zakładali na Śląsku już w pierwszej połowie wieku XII przetrwali w kilku miejscach aż do kasaty w 1810 r. Zakon miał swoją wielką posiadłość przejętą po templariuszach w Oleśnicy Małej w pow. oławskim, potężne komandorie w Strzegomiu i Kłodzku, a np. joannici z małego dziś Tyńca nad Ślężą już w XII w. pobierali dziesięcinę aż z Barda Śl. i okolic. Suwerenny Rycerski Zakon Szpitalników Świętego Jana z Jerozolimy, z Rodos i z Malty (łac. *Supremus Militaris Ordo Hospitalarius Sancti Ioannis Hierosolymitani Rhodiensis et Melitensis*) istnieje



Znaki dominikańskie: herb Odrowąż w kaplicy bł. Czesława, zwornik portalu, logo dominikanów



Tyńiec nad Ślężą. Krzyż maltański na wieży kościoła



Krzyże maltańskie: w szczycie kościoła Bożego Ciała, nad bramą obok tego kościoła i na chrzcielnicy w kolegiacie kłodzkiej

do dziś i nawet jest podmiotem prawa międzynarodowego, a charakterystyczny krzyż maltański stał się oznaką różnych służb ratunkowych.

Komandoria wrocławska mieściła się przy kościele Bożego Ciała, po drugiej stronie drogi (obecnej ul. Świdnickiej) i była połączona z kościołem krytym gankiem nad ulicą rozebrany dopiero w 1826 r. Ażurowy krzyż maltański widać teraz zarówno w szczycie zachodnim tego kościoła, jak i w głębi podwórza nad budynkiem zakrystii-kaplicy, natomiast najbardziej rzuca się w oczy złoty krzyż maltański skomponowany z czterech zbiegających się grotów strzał i datą 1696 umieszczony nad bramą w murze obok kościoła.

Z joannitami kojarzy się **Zakon Krzyżowców z Czerwoną Gwiazdą** (łac. *Ordo Militaris Crucigerorum cum Rubea Stella*, O.Cr.) – zakon rycerski o charakterze szpitalnym powstały w latach trzydziestych XIII wieku z inicjatywy księżnej Agnieszki z dynastii Przemyślidów, późniejszej świętej. Jest to jedyny zakon, jaki powstał w Czechach i jedyny założony przez kobietę. W 1252 r. do symbolu czerwonego krzyża maltańskiego dodano u dołu czerwoną sześcioramienną gwiazdę – stąd krzyżowców z czerwoną gwiazdą, szpitalników lub braci szpitalnych nazywano również krzyżowcami gwiazdzistymi.

Od XIII w. szpitalnicy mieli we Wrocławiu szpital, klasztor i kościół (obecnie św. Macieja), które po barokowej przebudowie (XVII/XVIII w.) i powojennej odbudowie są teraz imponującą siedzibą Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Emblematy krzyżowców, odnowione i częściowo zrekonstruowane, widać na bramie dziedzińca od ul. Szewskiej, w ogrodzie, nad fasadą północną od strony Odry, a także na ścianie dawnej plebanii. Jako ciekawostkę można wskazać krzyż z czerwoną gwiazdą na epitafium Wencesława Woykowskiego z 1726 r. w kościele Bożego Ciała przejściowo użytkowanego wówczas przez krzyżowców.

Spośród omawianych tu zgromadzeń specyficznie wyróżnione zostało dziedzictwo **cystersów**, mianowicie w 2010 r. Rada Europy, uznając rolę, jaką w rozwoju cywilizacyjnym i kulturalnym kontynentu odegrał ten zakon będący prekursorem zjednoczonej Europy, w ramach programu Europejskich Dróg Kulturowych, zatwierdziła Szlak Cysterski obejmujący dziesiątki istniejących i byłych klasztorów „białych mnichów”. Warto zauważyć, że w Polsce uroczyste powołanie Szlaku Cysterskiego miało miejsce już w 1990 roku w podkrakowskiej Mogile będącej jednym z czterech istniejących obecnie w Polsce opactw ufundowanym przez biskupa Iwo Odrowąża w 1222 r., który sprowadził tu zakonników ze śląskiego Lubiąża.

Zakon Cysterski (łac. *Ordo Cisterciensis*, OCist.) wywodzi się bezpośrednio z zakonu benedyktynów i był założony w 1098 r. przez św. Roberta z Molesme, pierwszego opata w Cîteaux (łac. *Cistercium* – stąd nazwa zakonu), a zatwierdzony przez papieża w 1119 r. Początkowo filie wywodzące się z Cîteaux powstawały tylko na terenie



Ossolineum. Herb krzyżowców z czerwoną gwiazdą



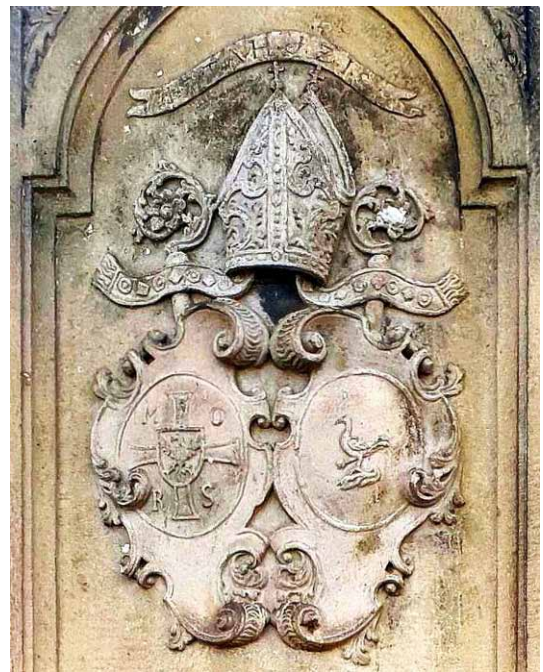
Herby krzyżowców z czerwoną gwiazdą: brama i północny szczyt Ossolineum, epitafium w kościele Bożego Ciała



Tablica szlaku cysterskiego



Henryków. Krzyż morimondzki z orłem piastowskim



Henryków. Herby opactw w Henrykowie i w Zirc

Francji, a dwie z nich, Clairvaux i Morimond (1115 r.) stały się później macierzą dla klasztorów na ziemiach polskich.

Na Dolnym Śląsku cystersi pojawili się już w połowie XII w. sprowadzeni przez księcia Bolesława I Wysokiego do Lubiąży w 1163 r. W 1202 r. powstaje w Trzebnicy pierwszy (i jedyny) klasztor żeński, w 1222 – opactwo w Henrykowie, w 1249 r. – w Kamieńcu Żąbkowickim i w 1292 r. – w Krzeszowie (z fundacji Bolka I Świdnickiego). Obecnie cystersi pozostali tylko w Henrykowie, gdzie prowadzą parafię i stanowią jedynie przeorat należący do opactwa w Szczyrzycu w Małopolsce. Nowe opactwa powstawały jako filie macierzystych, czego ślady widać w ich herbach; często pojawiają się tu np. rozmieszczone w kwadracie litery MORS będące skrótem *Morimondus*, łacińskiej nazwy jednego z pierwszych, macierzystych klasztorów cysterskich. Taki herb: czerwony „krzyż morimondzki” na błękitnym polu z czarnym orłem piastowskim w centrum występuje w kilku miejscach klasztoru i kościoła w Henrykowie. Zwiedzający ten klasztor mogą wszakże być skonfundowani, widząc np. na cokole niesamowitej kolumny Trójcy Świętej podwójne herby – obok henrykowskiego inny, przedstawiający żurawia trzymającego kamień. Jest to znak opactwa w Zirc na Węgrzech, które w 1699 r. zostało wykupione i od tej pory opat henrykowski był też zwierzchnikiem tamtejszego klasztoru.

Inne od henrykowskiego, ale do siebie bardzo podobne, są herby opactwa w Lubiąży, Krzeszowie i Kamieńcu, co wynika zapewne z tego, że Lubiąż był domem macierzystym zarówno dla Krzeszowa jak i wcześniej dla Kamieńca. Porównanie najlepiej zrobić, biorąc realizacje w podobnej skali; np. dla Lubiąży – wielki (jak wszystko w tym klasztorze) herb z portalu pałacu opata,



Herby cysterskie: Lubiąż, Krzeszów, Henryków

a dla Krzeszowa – z budynku plebanii pocysterskiego kościoła w Chełmsku (w samym Krzeszowie trudno znaleźć dobry przykład). Niemal identyczne herby różni tylko serce, czyli pole centralne – w lubiąskim jest tam głowa św. Jana, a w krzeszowskim orzeł piastowski; wszak to Piast był fundatorem klasztoru, a później w Krzeszowie znalazło się mauzoleum Piastów Świdnickich. W tym zestawieniu herb henrykowski (z portalu klasztorowego) różni się nie tylko kompozycją, ale i wykonaniem – nie jest jak inne z piaskowca, lecz z marmuru. Herb kamieniecki (np. w wersji z Barda Śląskiego, gdzie go można zobaczyć pod emporą muzyczną dźwigającą słynne organy) ma ten sam układ co lubiąski, ale w centrum – nietypowo – umieszczono obok siebie dwa małe pola: z głową św. Jana i drugie z krzyżem morimondzkim.

Bardzo uproszczone wersje cysterskich herbów są na kamieniach granicznych: niedawno odkrytych XVII-wiecznych słupach lubiąskich k. Męcinki (pow. jaworski) i XVIII-wiecznych krzeszowskich. W pierwszym



Bardo Śl. Herb cystersów z Kamieńca Żąbkowickiego



Cysterskie słupy graniczne: lubiąski (1541 r.) i krzeszowski (1727 r.)

przypadku widać tylko opacki pastorał i skośny szachowany pas, a w drugim – infulę, pastorał i skośny pas oraz inicjały opata (szerzej o tych kamieniach zob. marcowy nr NSz z 2022 r. <http://www.na-szlaku.net/files/Na%20Szlaku%2003-2022.pdf>). Mimo tych uproszczeń zapewne wszyscy dobrze wiedzieli czyje to dobra są w ten sposób rozgraniczone.

Miłośnicy znaków wykutych w kamieniu zapewne zetknęli się z tzw. **gmerkami** kamieniarzy, którzy w ten sposób oznaczali swoje prace m. in. w celu rozliczeń ze zleceniodawcą. Znawczy w pewnych przypadkach potrafią nawet zidentyfikować tych artystów/rzemieślników i w ten sposób śledzić ich działalność w różnych miejscach.

Dla laików gmerki mają wartość estetyczną, „personalizują” autorów oglądanych zabytków i dodają im tajemniczości. Przy okazji takich szczegółowych oględzin można również natrafić na zawstydzające oznaki zainteresowania dawnych turystów, ślady – co do istoty – bardzo zbliżone do spotykanych współcześnie bazgrołów typu „Tu byłem!” malowanych sprayem, gdzie popadnie. Takie podpisy z podaniem daty są np. ordynarnie wyskrobane na dębowych ławkach w pięknym kościele krzeszowskim, a daty wskazują na XVIII w., czyli niedługo po wykończeniu tego wspaniałego wnętrza. Zdumiewa napis kaligraficznie wykuty na płycie nagrobnej(!) Barbary Prauser (zm. 1620 r.) przy wejściu do wrocławskiej katedry wyróżniają się wśród kilku niechlujnych inicjałów i opatrzonej datą 1686. Kto to był? Po co to zrobił? Kolejny przyczynek do smutnych dziejów ludzkiej głupoty...



Gmerki kamieniarzy: dwa z kościoła św. Barbary we Wrocławiu i jeden z kolumny pseudo-pręgierza w Lwówku Śl.

Witold Komorowski



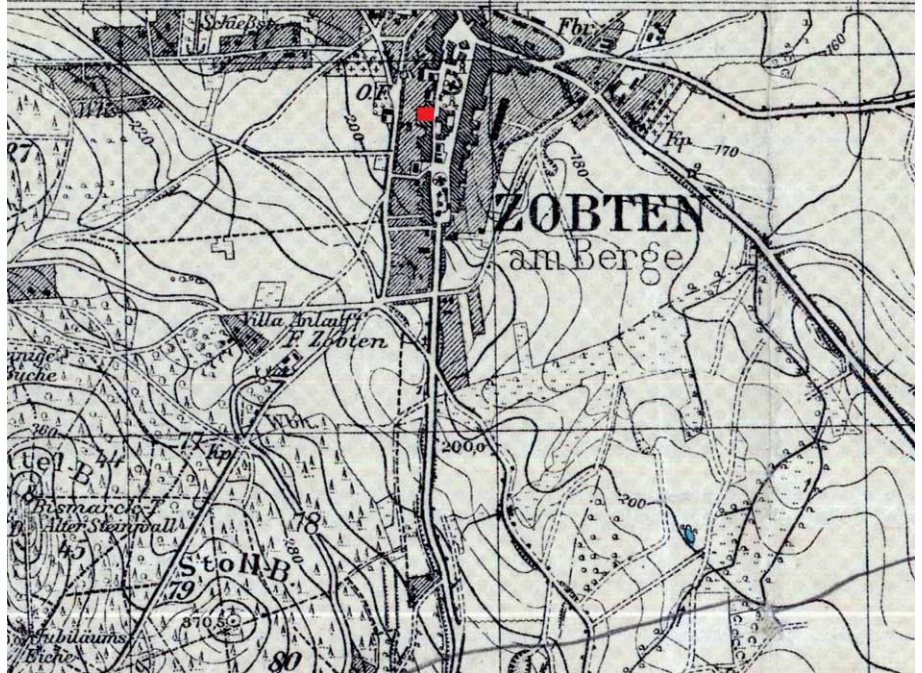
Po(d)pisy na płycie nagrobnej przy wejściu do katedry

Muzeum Ślązańskie im. Stanisława Dunajewskiego w Sobótce

Przy ul. św. Jakuba 18 stoi renesansowy budynek na planie litery L, 5-traktowy, 2-kondygnacyjny. W przyziemiu krótszego skrzydła założono bramę wjazdową. Piwnice, bramę, trzy izby przyziemia sklepiono kolebkowo, pozostałe pomieszczenia nakryto stropami belkowymi. W bramie wjazdowej zachował się renesansowy portal z herbem opata Eliasa Schwanenberga i datą 1568, a w elewacji podwórza barokowy, z końca XVII w. Budynek ten był częścią kompleksu szpitalnego, który wybudowano w 1568 r., był przebudowywany i rozbudowywany w 1748 r. Zabudowania szpitalne zostały rozebrane około 1841 r., pozostał tylko dom, w którym mieściła się administracja i kwatery mieszkalne.

Od 1926 r. istniało tutaj lokalne muzeum, którym opiekował się H. Hanke – autor monografii historycznej Sobótki. Kolekcja muzealna obejmowała zbiory skał i minerałów z okolicy, zabytki archeologiczne, wyroby rzemiosła, dokumenty historyczne. W okresie II wojny światowej zbiory uległy rozproszeniu, zaginęła także dokumentacja muzealna.

Pierwsza powojenna wystawa „Wykopaliska na Śląsku w latach: 1945-1955” została otwarta 22 lipca 1958 r. i była dostępna dla zwiedzających do końca roku. Przygotował ją Dział Archeologiczny Muzeum



Lokalizacja muzeum (czerwony kwadrat) na wycinku mapy archiwalnej 5166 Zobten am Berge z 1938 r., w skali 1:25 000



Śląskiego, zajmowała dwie izby w budynku. Równocześnie w latach 1958-1959 przystąpiono do tworzenia wystawy stałej, a powstająca placówka muzealna miała nazwę Muzeum Regionalnego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Jednak rozpoczęcie prac remontowych budynku przerwało starania o stworzenie muzeum.

Po zakończeniu remontu 24 czerwca 1962 r. nastąpiło otwarcie nowej placówki muzealnej – Muzeum Śląskiego. Scenariusz wystawy napisali archeolodzy z Muzeum Śląskiego we Wrocławiu. Była poświęcona znaleziskom archeologicznym z Masywu Ślęzy. Na wystawie pokazano historię rozwoju społeczeństw zamieszkujących okolice góry Ślęzy z naciskiem na jej oddziaływanie na życie religijne i duchowe mieszkańców.

Budynek muzeum od strony ulicy św. Jakuba, z bramą wjazdową i renesansowym portalem

Od 1971 do 1993 r. Muzeum Ślązańskie w Sobótce było oddziałem Muzeum Archeologicznego we Wrocławiu. 20 czerwca 1992 r. z okazji obchodów 30-lecia istnienia muzeum nadano imię Stanisława Dunajewskiego (13 sierpnia 1900 - 25 sierpnia 1985). Był on lokalnym społecznikiem, jednym z jego założycieli, a także pracownikiem w latach: 1957-1958, 1962-1967. W 1993 r. burmistrz Sobótki Eugeniusz Cieleń przejął muzeum i stało się ono gminną instytucją kultury.

W 2022 r. muzeum obchodziło 60-lecie istnienia. Rocznicę tę poprzedziły zmiany, w 2020 r. na emeryturę odszedł jego wieloletni dyrektor Wojciech Fabisiak. Nowy zespół muzeum, pod kierunkiem Moniki Szimy-Efinowicz, aranżuje i współcześnie istniejące wystawy: „Śladami dawnych wierzeń” – gdzie pokazano wpływ Ślęzy jako ośrodka kultowego na duchowość i wierzenia ludzi zamieszkujących w jej sąsiedztwie; „Przyroda Masywu Ślęzy” – gdzie przedstawiono przedstawicieli fauny i flory występujących na tym terenie, a także zbiory geologiczne. W 2022 r. zaaranżowano nową wystawę stałą „Sobótka. Od osady targowej do nowożytnego miasta”, która skupia się na historii i rozwoju miasta. Jej najjaśniejszym punktem jest tzw. „Skarb Dunajewskiego”, zbiór numizmatów odnaleziony w 1965 r. podczas rozbiórki kamieniczki w rynku sobótkańskim. W ogrodzie przy muzeum działa lapidarium, w którym zebrano elementy kamieniarskie z Sobótki i okolic, fragmenty romańskich słupów i detali architektonicznych, krzyże pokutne, gotycką chrzcielnicę, późnogotycką kapliczkę słupową z Krzyżowic, fragmenty portali z kamienic w rynku. Muzeum ma także wydzieloną przestrzeń na wystawy czasowe, 11 marca 2023 r. otwarto wernisaż gobelinów Anny Sienkowskiej „Między wątkiem a osnową” (będzie dostępna dla zwiedzających do połowy maja 2023 r.).

Muzeum otwarte jest całorocznie, od środy do niedzieli, bezpłatny wstęp jest w czwartek. W muzeum można uzyskać potwierdzenia do książeczek i kart odznak turystycznych.

Rafał Śledzik-Kamiński

Dzwon parafii pw. Wniebowzięcia NMP z Wojanowa powraca po prawie 75 latach na swoje pierwotne miejsce

W Wojanowie, po prawie 75 latach, dzwon ponownie wzywa wiernych parafii pw. Wniebowzięcia NMP na nabożeństwo.

W roku 1943 jeden z dwóch pozostałych dzwoń, ten większy, został zarekwirowany przez nazistów i miał być przeznaczony jako surowiec do produkcji broni. 300 lat wcześniej było dokładnie odwrotnie. Hrabia Christoph Leopold von Schaffgotsch przeznaczył zniszczoną armatę z Chojnika na odlanie nowego dzwonu. Dzwon na szczęście przetrwał koniec wojny na tak zwanym „cmentarzysku dzwoń” w Hamburgu i ocalał od przetopienia.

W roku 1953 dzięki zawartej umowie użyczenia udało się ks. Petersowi, proboszczowi katolickiej parafii pw. św. Jana Baptysty w Myhl, w biskupstwie Akwizgran, sprowadzić wojanowski dzwon do Myhl, gdzie przez 62 lata pełnił wiernie swoją służbę.

W związku z trudnymi warunkami finansowymi nie było wówczas możliwe odlanie nowych dzwoń w miejsce dwóch oddanych w ramach rekwizycji wojennej. W roku 2015 spełniło się pragnienie ponownego odlania dawnego dzwonu św. Donata z Myhl, z pierwotnymi inskrypcjami, zarekwirowanego w czasach wojennych. Wojanowski dzwon musiał ustąpić miejsce nowemu dzwonowi św. Donata.



Dnia 5 marca 1986 r. Walter Hornig z Wojanowa, poszukując wojanowskiego dzwonu, dostał z Komisji ds. Zwrotu Dzwonów (niem. Ausschuss für die Rückführung der Glocken e.V.) w Berlinie informację, że dzwon z Wojanowa służy od roku 1953 katolickiej parafii pw. św. Jana Baptysty w Myhl, w biskupstwie Akwizgran. Hornig pisze dnia 12 kwietnia 1986 r. do parafii w Myhl, że jego najgłębszym pragnieniem, jako opiekuna ziomkostwa gminy Schildau/ Wojanów oraz ok. 300 nadal żyjących dawnych mieszkańców tej gminy, jest odnalezienie dzwonu. Dalej pisze, że od kilku lat utrzymywane są przyjazne stosunki z obecną polską parafią. Polski proboszcz odprawiał również wspólne nabożeństwo.

Od odnalezienia dzwonu minie jeszcze prawie 30 lat, zanim zostanie on sprowadzony na swoje pierwotne miejsce, do kościoła katolickiego w Wojanowie.

Składamy serdeczne podziękowanie katolickiemu kościołowi św. Jana Baptysty w Myhl za zwrócenie dzwonu do Wojanowa, na jego dawne miejsce. Fotografie dzwonu zostały sporządzone przez pracowników parafii w Myhl.

Podziękowania płyną również do pana Norberta Sendke, przewodniczącego Rady Parafialnej w Myhl, za dokumentację dotyczącą dzwonu z Wojanowa oraz jego sprowadzenia.

Ponad 70 lat po wojnie stanowi to wkład na rzecz wspólnej żywej Europy. Niech dźwięk dzwonu oznajmia pokój i wzywa do chrześcijańskiej wspólnoty

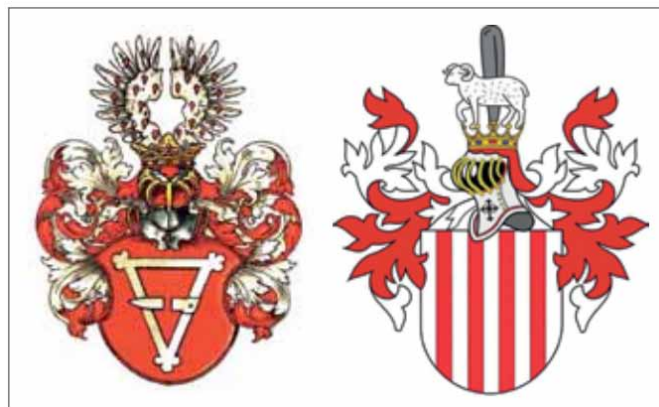
Opis dzwonu:

GEORG SCHREIBER
HIRSB: PER ANNOS
XXX PASTOR LOCI

Poniżej między dwoma pasami:

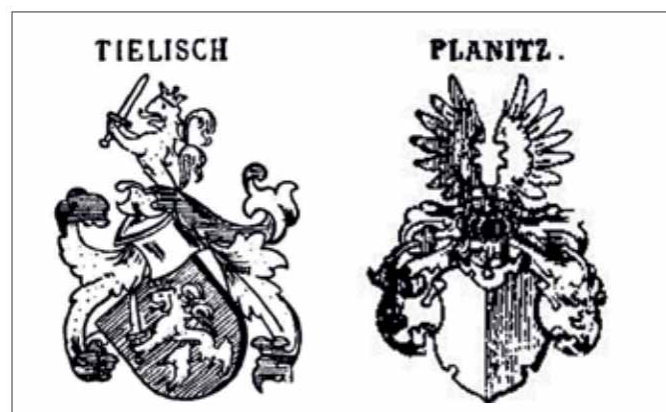
ICH RVF MIT MEINEM KLANG
ZV SAGEN GOTT DEM HERREN DANCK
VND LOCK DAS VOLCK ZV GOTTES WORT
WELCHS ZEV/GET AN DER HIMMELS/PFORT 1638.

(Moim biciem chcę Panu Bogu podziękować
i przybliżać lud do Słowa Bożego,
które jest kluczem do Niebios Bram)



CHRISTOFF VON ZEDLITZ AVF SCHILDAW	CATHARINA ZEDLITZIN GEBOR NE SCHAFGOTSCHIN /
Lenno	
<i>Herb: Zedlitz</i>	<i>Herb: Schaffgotsch</i>

Druga strona dzwonu.



RVDOLF VON PLAVNITZ AVF RVRLACH	MARTIN TIELISCH AVF EICHBERG
<i>Herb: Plavnitz</i>	<i>Herb: Eichberg</i>

Pod dwoma herbami: linię paciorka ozdabiają trzy pasy, w wieńcu dzwonu między dwoma pasami – antykwa:

PETER RVFFER KIRCHENSCHREIBER GEORG RITTER (Kitler?)
BALTHASAR WEIST KIRCHENVÄTER HEINRICH SIEGERT
SCHENCKE ANSTATT SCHVLTZENS ZV SCHILDAW BALTHA-
SAR BERTERMANN SCHVLTZ VND IACOB WIESNER SCHOEP-
PE VNTERM BOBERSTEIN GEORG STRECKENBACH SCHVLTZ
VND BALTHASAR WIESNER/SCHOEPPE ZV RVRLACH.

Ulrich Junker

Autobusem na sudeckie wycieczki do Jarnołówka w lutym 1959 r.

Osoby, które w tytułowym zimowym miesiącu 1959 r. zechciały wybrać się do Jarnołówka – aby chociaż przez krótki czas nacieszyć oczy widokiem tej pięknie położonej wsi, a może i po odpowiednim przygotowaniu wybrać się na pieszą górską wycieczkę w wyższe partie Gór Opawskich – miały możliwość dojechania do tytułowej miejscowości autobusem Państwowej Komunikacji Samochodowej¹. Tak przynajmniej wynika z obowiązującego wówczas rozkładu jazdy autobusów².

Według tabeli nr 630 zamieszczonej w wydawnictwie pt. „PKS Urzędowy Rozkład Jazdy Autobusów ważny od 28. IX. 1958 do 30. V. 1959” przez Jarnołówkę przejeżdżać miało wówczas osiem liniowych autobusów PKS w ciągu doby. Obok numeru wspomnianej tabeli figuruje w niej napis: *NYSA – GŁUCHOŁAZY – PRUDNIK*. Ze wspomnianej tabeli wynika jednak, że nie wszystkie kursy w niej ujęte realizowane były z Nysy do Prudnika oraz z Prudnika do Nysy. Z przystanku oznaczonego w tabeli rozkładu jako „PRUDNIK, PL. Woln.” (pisownia oryginalna) do przystanku oznaczonego w niej jako „NYSA, dw. kol.” (pisownia oryginalna) przez Jarnołówkę i Głuchołazy jechać miały bowiem tylko dwa pasażerskie pojazdy PKS w ciągu doby. Chodziło o autobusy ruszające z Prudnika o 7:10 i 10:10 (odjazd z przystanku oznaczonego w rozkładzie jako „Jarnołówkę” odpowiednio o 7:36 i 10:36). Również z Nysy do Prudnika przez Głuchołazy i tytułową miejscowość realizowane miały być dwa kursy na dobę (odjazd z przystanku „NYSA, dw. kol.” o 8:00

¹ Państwowa Komunikacja Samochodowa w dalszej części artykułu określana jest jako „PKS”.

² „PKS Urzędowy Rozkład Jazdy Autobusów ważny od 28. IX. 1958 do 30. V. 1959”.

i 14:20, a z przystanku „Jarnołówka” odpowiednio o 9:04 i 15:24). Pozostałe liniowe autobusy PKS – które miały przejeżdżać wówczas przez tytułową wieś – kursować miały na znacznie krótszej trasie („PRUDNIK, PL. Woln.” – „Głuchołazy”; oczywiście w obu kierunkach)³.

Warto dodać, że pierwszym liniowym pojazdem PKS, który – według rozkładu – miał przyjeżdżać do Jarnołówka był ten odjeżdżający z Prudnika o 5:30. Był to kurs na trasie z Prudnika do przystanku „Głuchołazy”. Z przystanku „Jarnołówka” w dalszą trasę odjeżdżał on już o 5:56. Z kolei z przystanku oznaczonego w rozkładzie jako „Głuchołazy” pierwszy autobus umożliwiający dojazd do tytułowej miejscowości w lutym 1959 r. startować miał o 6:20, aby już o 6:34 odjechać z przystanku „Jarnołówka” w dalszą drogę do Prudnika. Dało się więc dojechać tu już bardzo wcześnie rano. Ostatni w ciągu doby pojazd liniowy PKS do przystanku „Głuchołazy” odjeżdżał z przystanku „Jarnołówka” o 16:36, natomiast do Prudnika o 17:14⁴. W sumie więc osoby mieszkające w Jarnołówku miały możliwość udania się z tej wsi bezpośrednim autobusem do kilku miejscowości np. do Prudnika. Również jednak i osobom planującym dojazd do Jarnołówka na krótką zimową wycieczkę rozkład taki mógł odpowiadać. Warto bowiem nadmienić, że według wspomnianej tabeli każdy z figurujących tam kursów miał być realizowany przez cały okres obowiązywania ww. rozkładu⁵.

Dodam jeszcze, że przystankami pośrednimi pomiędzy tymi oznaczonymi w rozkładzie jako „PRUDNIK, PL. Woln.” i „Głuchołazy” były te oznaczone w rozkładzie jako: „Łąki I”, „Łąki II”, „Moszczanka”, „Pokrzywna”, „Aleksandrówka”, „Jarnołówka”, „Starowice” i „Konradów”⁶.

Dla porównania w rozkładzie jazdy obowiązującym od 15 maja 1949 r. do 1 października 1949 r. pomiędzy przystankami oznaczonymi w nim jako „Prudnik dw. kol.” i „GŁUCHOŁAZY” znajdować się miały przystanki oznaczone w nim jako: „Prudnik, Ryn.”, „Łąki”, „Moszczonka”, „Zwierzyniec”, „Kapa Bisk.”, „Aleksandrówka”, „Jarmontówek”, „Starowice”, „Konradów” i „Głuchołazy Zdr.”⁷ (pisownia nazw wszystkich przystanków oryginalna). Jak widać wśród wymienionych ostatnio przystanków nie figuruje taki o nazwie Jarnołówka. Czy oznacza to, że pojazdy PKS w okresie obowiązywania wspomnianego rozkładu jazdy z 1949 r. nie jechały przez tytułową miejscowość? Otóż wydaje się, że jechały. Wprawdzie odległość między przystankami „Prudnik dw. kol.” i „GŁUCHOŁAZY” – według tego rozkładu – wynosiła 23 km (między przystankami „Prudnik, Ryn.” i „GŁUCHOŁAZY” 22 km⁸), a więc więcej niż między przystankami w tych miejscowościach według przywołanego rozkładu z 1959 r., jednak zasadnicza część trasy była najpewniej taka sama. Autobusy jechać miały bowiem również przez Pokrzywną (przystanek „Zwierzyniec”⁹) oraz przez przystanek „Aleksandrówka”. Ten ostatni mógł znajdować się już w granicach Jarnołówka. Przystanek „Jarmontówek” to być może ten sam przystanek, który w ww. rozkładzie z 1959 r. określono mianem „Jarnołówka”¹⁰. Pewną zagadką jest przystanek określony w wymienionym rozkładzie z 1949 r. jako „Kapa Bisk.”/„Kapa Biskupia”¹¹. Czy nazwa tego ostatnio wymienionego przystanku, znajdującego się wówczas najpewniej gdzieś w dolinie Złotego Potoku, a więc z dala od wierzchołka Biskupiej Kopy (890 m n.p.m.), miała nawiązywać w jakiś sposób do nazwy tejże wschodniosudeckiej góry? Nie wiem.

Wróćmy jednak jeszcze na moment do lutego 1959 r. Według obowiązującego wówczas rozkładu jazdy odległość pomiędzy przystankami „Pokrzywna” i „Jarnołówka” wynosiła 4 km, natomiast pomiędzy przystankami „Aleksandrówka” i „Pokrzywna” – 2 km¹². Autobusy jechały więc zapewne szosą poprowadzoną wspomnianą przełomową doliną Złotego Potoku. Sam więc przejazd tą drogą mógł być dla wielu osób atrakcyjną wycieczką, dającą szansę na podziwianie przez szyby okien pojazdu pięknych krajobrazów tego zakątka Sudetów Wschodnich.

Bartosz Skowroński

3 Ibidem. Według tego rozkładu jazdy odległość między przystankami „Głuchołazy” i „PRUDNIK, PL. Woln.” miała wynosić 19 km.

4 Ibidem.

5 Ibidem.

6 Ibidem.

7 „Państwowa Komunikacja Samochodowa Rozkład Jazdy wraz z postanowieniami przewozowymi i taryfowymi ważny od 15. V – 1. X. 49 r”.

8 Ibidem.

9 Przez pewien czas Pokrzywna określana była jako Zwierzyniec. Pojawiały się też inne wersje nazwy tej miejscowości. Zob. „Słownik geografii turystycznej Sudetów tom 18 Góry Opawskie” pod red. Marka Staffy, zespół autorski: Marek Staffa, Krzysztof R. Mazurski, Janusz Czerwiński, Grzegorz Pisarski; s. 203.

10 Chociaż trzeba pamiętać, że nazwa Jarnołówka w odniesieniu do tytułowej miejscowości została ustalona już w 1946 r. Rozporządzeniem Ministrów: Administracji Publicznej i Ziem Odzyskanych z dnia 12 listopada 1946 r. o przywróceniu i ustaleniu urzędowych nazw miejscowości, które weszło w życie 16 grudnia 1946 r. (zob. Monitor Polski z 1946 r. nr 142, poz. 262).

11 „Państwowa Komunikacja Samochodowa Rozkład Jazdy wraz z postanowieniami przewozowymi i taryfowymi ważny od 15. V – 1. X. 49 r”.

12 „PKS Urzędowy Rozkład Jazdy Autobusów ważny od 28. IX. 1958 do 30. V. 1959”.

Pomnik kantora Pohla z Miskowic

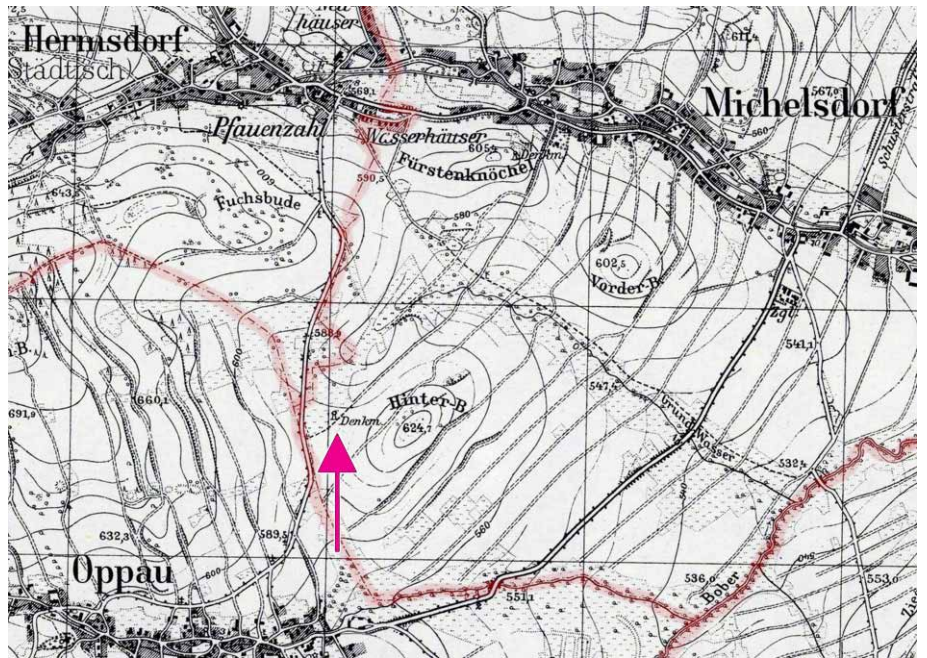
W poprzednim numerze piśmie „Na Szlaku” opisywałem pomnik stojący niegdyś na Książęcej Kostce w Miskowicach. Właśnie przy tej górze zaczyna swój bieg polna droga do Opawy. Na jej końcu niegdyś ustawiono jeszcze jeden pomnik. Jego lokalizację możemy zobaczyć na archiwalnych mapach *Meßtischblatt*. Pomnik znajdował się na terenie Miskowic, tuż przy granicy z Opawą.

W październiku 2022 roku postanowiłem sprawdzić, jak obecnie wygląda to miejsce. Po dotarciu do celu ujrzałem niepozorną kapliczkę.

Dokładniejsze oględziny pozwoliły mi stwierdzić, że jest to poszukiwany przeze mnie pomnik, który oznaczono na dawnych mapach. Najprawdopodobniej w latach powojennych został on przerobiony na kapliczkę. Na szczycie wysokiego na 150 cm piaskowcowego monumentu zamontowano krzyż wykonany z zespawanych odcinków pręta zbrojeniowego. Na zachodniej stronie pomnika znajduje się owalne zagłębienie, zapewne pierwotnie umieszczono tu tablicę z napisami.

Po wschodniej stronie pomnika widoczny jest Uroboros. To starożytny symbol przedstawiający węża z ogonem w pysku, który pożera samego siebie. Wyraża on jedność duchową i fizyczną wszechrzeczy, która nigdy nie zaniknie i będzie trwać w nieskończoność. Podobnego węża znajdziemy np. w krzeszowskim Mauzoleum Piastów Śląskich na epitafium legendarnego Bolka III. Stan zachowania pomnika nie pozwala na stwierdzenie, na jaką okoliczność został on ustawiony.

Informacji na ten temat postanowiłem poszukać w dostępnych mi źródłach. Dość szybko natknąłem się na wzmiankę, która zapewne odnosi się do tego właśnie miejsca. Otóż w gazecie *Schlesischer Gebirgsbote* (nr 16/1962) ukazał się artykuł opisujący nazwy miejscowe w przedwojennych Miskowicach. Wspomniano tam pewien mały, wykonany z piaskowca pomnik. Miał on znajdować się obok ścieżki do Opawy, przy końcu dóbr parafialnych. W tym właśnie miejscu z powodu ataku serca zmarł kantor Pohl pełniący w latach 1883-1915 funkcję nauczyciela i kantora katolickiego w Miskowicach. Kantor Pohl był aktywnym działaczem lokalnej, miskowicko-jarkowickiej grupy Towarzystwa Karkonoskiego, nawet w ówczesnych przewodnikach wymieniano go jako osobę właściwą do udzielania informacji turystom. Wydana w 1911 roku książka adresowa miasta i okręgu Kamienna Góra potwierdza, że kantorem w miskowickiej szkole katolickiej był Heinrich Pohl.



Fragment mapy *Meßtischblatt* z zaznaczonym pomnikiem (niem. *Denkmal*) przy polnej drodze z Miskowic (niem. *Michelsdorf*) do Opawy (niem. *Oppau*). Kolorem czerwonym oznaczono przebieg granic miejscowości



Widziany od zachodu pomnik-kapliczka pośród pól. Wszystkie fotografie w artykule: Marian Gabrowski



Pomnik-kapliczka widziany od zachodu



Symbolizujący wieczność i nieskończoność wąż Uroboros na wschodnim boku pomnika

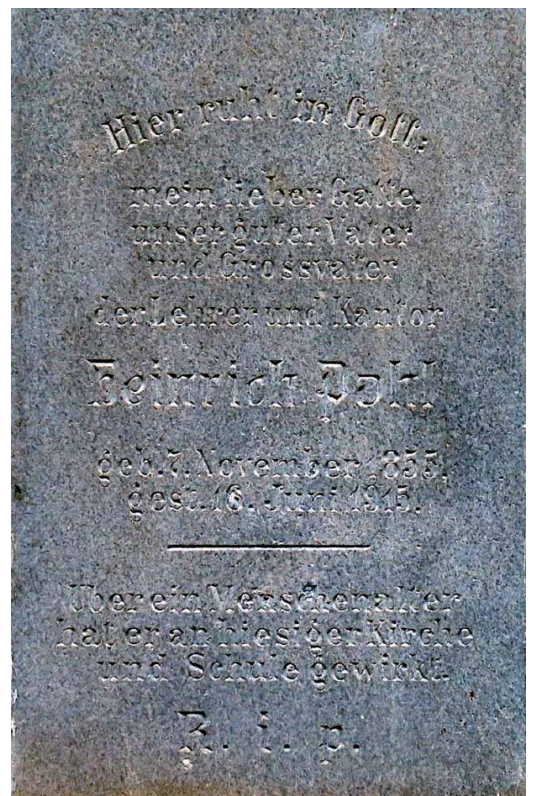
Pomnik powstał zapewne z inicjatywy przyjaciół zmarłego działających w tutejszej grupie Towarzystwa Karkonoskiego. Ustawiono go w miejscu śmierci Heinricha Pohla, zasłużonego dla lokalnej społeczności mieszkańca Miskowic.

Nie jest to jedyny zachowany do dziś ślad po tej osobie. Pan Andrzej Rogas zwrócił mi też uwagę na fakt, że na ścianie kościoła katolickiego w Miskowicach znajduje się tablica wzmiankująca kantora Heinricha Pohla. W swoim archiwum odszukałem jej zdjęcie z 2016 roku. Na wmurowanej na zewnątrz kościoła tablicy nagrobkowej wyryto następującą inskrypcję:

Hier ruht in Gott:
 mein lieber Gatte,
 unser guter Vater
 und Grossvater
 der Lehrer und Kantor
 Heinrich Pohl
 geb. 7 November 1855.
 gest. 16 Juni 1915.
 Über ein Menschenalter
 hat er an hiesiger Kirche
 und Schule gewirkt.
 R. i. p.

Powyższe należałoby przetłumaczyć jako: *Tu spoczywa w Bogu: mój drogi mąż, nasz dobry ojciec i dziadek, nauczyciel i kantor Heinrich Pohl, urodzony 7 listopada 1855 roku, zmarły 16 czerwca 1915 roku. Przez całe życie działał on w tutejszym kościele i szkole. Niech spoczywa w pokoju.*

Marian Gabrowski



Tablica na nagrobku Heinricha Pohla

Jeszcze raz o pomniku z Niedamirowa

W sierpniu ubiegłego roku w piśmie „Na Szlaku” ukazał się mój artykuł „Pomnik upamiętniający mieszkańców Niedamirowa poległych w czasie pierwszej wojny światowej”. Opisywałem w nim elementy pomnika, na jakie natrafiono jakiś czas temu. Całość zakończyłem następującą refleksją:

»Po odnalezieniu został on prowizorycznie ustawiony w sąsiedztwie drogi, gdzie przeszkadzał w parkowaniu samochodu. W późniejszych latach przestawiono go jeszcze dalej, usuwając w ten sposób z trasy przebiegających tu szlaków turystycznych. A zaledwie kilkadziesiąt metrów od tego miejsca znajduje się „Ogród Pamięci”, który powstał kilka lat temu w ramach inicjatywy „Odnowa Wsi Dolnośląskiej”. Na stronie Gminy Lubawka można na jego temat przeczytać: *Zagospodarowując teren zapewniono symboliczne scalenie dwóch części miejscowości. Projekt łączy wieś i jej mieszkańców. Drzewka mają przypominać o ludziach, którzy mieszkali w Niedamirowie przed 1945 rokiem oraz po zakończeniu wojny. Ma połączyć wieś i pokolenia. Dlatego więc władze lokalne nie zadbają o to, aby pomnik przenieść właśnie tam, w sąsiedztwo kamienia z napisami „Zahrada paměti / Garten der Erinnerung / Ogród Pamięci”, gdzie znajdowałby się on w miejscu o wiele bardziej właściwym? Wydaje się, że powinno się go ustawić właśnie tam, tuż przy szlaku, w sąsiedztwie ławki, gdzie wędrujący przez Niedamirow turysta mógłby usiąść i zadumać się nad historią wioski i regionu».*

Aby mój apel nie pozostał jedynie wołaniem: „Niech ktoś coś zrobi!”, postanowiłem tematem zainteresować administrację samorządową. Dlatego też po publikacji artykułu skierowałem do gminy Lubawka pismo z prośbą o objęcie tego interesującego pomnika właściwą opieką. Z otrzymanej po jakimś czasie odpowiedzi dowiedziałem się, że co prawda burmistrz Lubawki chciałby przenieść pomnik i wpisać go do ewidencji zabytków, ale niestety okazało się, że obiekt stoi na prywatnej działce i jedynie jej właściciel może podjąć takie działania.

Dlatego skierowałem do burmistrza kolejne pismo, tym razem prosząc, aby gmina spróbowała przejąć pomnik na swoją własność, co pozwoliłoby jej zrealizować wszystkie kolejne kroki. Tym razem się udało, gdyż aktualny właściciel chętnie przekazał władzom lokalnym posiadane zabytkowe elementy. Teraz gmina, będąca właścicielem terenu „Ogrodu Pamięci”, przygotowała odpowiednie miejsce, gdzie w kwietniu bieżącego roku pomnik ustawiono na betonowej podstawie. Jako jego nowy właściciel gmina planuje też wystąpić do Urzędu Ochrony Zabytków z wnioskiem o wpisanie pomnika do ewidencji zabytków.

Na koniec dziękuję administracji samorządowej za podjęte kroki, dzięki którym pomnik otoczony zosta-



nie właściwą opieką, a turyści zwiedzający okolice Lubawki będą mogli podziwiać jeszcze jeden interesujący zabytek. Chciałbym też zauważyć, że choć formalnie opisane powyżej działania realizował Urząd Miasta i Gminy w Lubawce, to ja kontaktowałem się z jego poszczególnymi pracownikami. Osoby te okazały mi ogrom życzliwości i zrozumienia dla moich starań, dlatego też to im wdzięczny jestem najbardziej!

Marian Gabrowski

Pomnik z Niedamirowa w tutejszym „Ogrodzie Pamięci”. Fot. Damian Stafira, kwiecień 2023

Dwieście dni w Górach Kaczawskich

W marcu tego roku byłem po raz dwusetny w Górach Kaczawskich, pierwszy raz będąc w styczniu 2011 roku.

W początkowym okresie wyjazdów w Sudety miałem zamiar wejścia na szczyty zaliczane do Korony Gór Polski i w ramach realizacji tego zamierzenia dwanaście lat temu poszedłem na Skopca w Górach Kaczawskich. Dość szybko zamysł porzuciłem, ale na kaczawskie drogi wróciłem po roku, a nim upłynął, wróciłem jeszcze 10 razy. W każdym kolejnym spędzałem w tych górach parę tygodni, a rekord ustanowiłem w 2014 roku, chodząc po kaczawskich górkach 27 dni.



Brzozy na Maślaku, maj 2016



Czereśnia i tarnina w Trzmielowej Dolinie, kwiecień 2019

więcej. Szedłem urzeczony bajecznymi widokami i niebieską dałą, ale i przedzierałem się przez chaszczę, wyszarpując buty z płataniny jeżynowych pędów i pomstując swój pomysł przejścia przez las akurat tędy. Czasami wyruszałem w drogę spóźniony, ale częściej mój szlak zaczynał się jeszcze nocą, by móc jutrenkę i wschód słońca oglądać z upatrzonej góry. Wracałem o zmierzchu, a ilekroć do samochodu dochodziłem jeszcze za dnia, czyniłem sobie wyrzuty o niepełne jego wykorzystanie; bywało wtedy, że zatrzymywałem się gdzieś po drodze w ładnym miejscu i patrzyłem na koniec dnia. Zdarzały się też powroty nocne, nie zawsze zamierzone (bo

Oczywiście nie wszędzie, ale wcale nierzadko bywa, że wiem gdzie skręcić na rozdrożu albo i na bezdrożu, by dojść tam, gdzie chcę. W tych górach rzadko używam mapy.

Chodziłem po błocie i głębokim śniegu, ale i uroczymi zielonymi drózkami wśród kwiatów; w dni przygniecione ciężkimi chmurami, ale też w słoneczną kolorową jesień lub w czasie zimy skrzącej się błękitnie i diamentowo, chociaż tych pierwszych było znacznie



Droga w pobliżu szczytu Skopca, styczeń 2011

na przykład źle policzyłem czas); wtedy siadałem w fotelu samochodu z satysfakcjonującą myślą o dojeździe i wzięciu od dnia wszystkiego, do ostatniej minuty, a nawet więcej.

Miewałem plany trasy, ale równie często, może nawet częściej, ledwie jej zarys albo cały „plan” był decyzją pojechania gdzieś i pochodzenia po okolicy; na przykład kilkakrotnie jechałem do Komarna z myślą o poszwendaniu się po Trzmielowej Dolinie, tak po prostu.

Początkowo trzymałem się szlaków, wybierałem popularne góry, szedłem tam, gdzie na mapie zaznaczone było miejsce widokowe, później dałem się prowadzić drogami, aż kiedyś zostawiłem je i ruszyłem tam, gdzie oczy lub chęć mnie niosły, nie zważając na drogi czy ścieżki. Odkryłem wtedy niezliczoną ilość miejsc widokowych niezaznaczonych na żadnej mapie i zacząłem tworzyć swoją własną listę najładniejszych miejsc. W związku z tą listą, istniejącą tylko w mojej pamięci (dziurawej, jak się zaraz okaże), miewałem „plany” rodzaju lubianego przeze mnie. Zaczynało się od wspomnień, czasami jednego obrazu zapamiętanego gdzieś na szlaku, a tak dla mnie ładnego czy raczej tak silnie działającego na mnie, co nie zawsze oznacza ładnego w potocznym rozumieniu, że pojawiała się chęć powrotu. Tylko gdzie, skoro nie zawsze potrafiłem obraz ulokować w konkretnym miejscu szlaku? Szukałem, niekoniecznie z dobrym rezultatem, ale zwykle przy tych okazjach znajdowałem inne ładne miejsca.

Z biegiem czasu spędzonego na kaczawskich drogach i bezdrożach stawały się one bardziej mi bliskie. Ten czas okazał się bardzo krótki, skoro już po kilku dniach na szlaku miałem pierwsze „swoje” miejsca, którym wierny jestem do dzisiaj.

Wypracowałem zwyczaje związane z wyjazdami. Na przykład sposób na usypianie za kierownicą w drodze powrotnej, gdy niewyspany (wstaję zwykle około trzeciej nad ranem) i zmęczony nie mogłem zapanować nad powiekami. Aby temu zapobiec, przygotowania do niedzielnego wyjazdu zacząłem czynić już w piątek, kładąc się spać wyjątkowo... późno. Dzięki temu, ale też stosując środek nasenny (czytaj: piwo), w sobotę usypiałem już o godzinie 20, a bywało, że i wcześniej.

Parokrotnie próbowałem odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego akurat te góry. Udzielając kilku odpowiedzi, nie jestem pewny zawarcia w nich wszystkich powodów; może nawet brakuje najważniejszego, a to z powodu jego nierozpoznania. Czy naprawdę wiem, dlaczego podoba mi się ta kobieta lub ten utwór muzyczny?

Czuję podziw dla ich urody, a z biegiem lat są mi bliższe – to mój wkład w związek, który nie wydaje mi się jednostronny, skoro góry dawały mi siły do przetrwania trudnych okresów, a tych nie brakowało w minionych latach. Siły i oczyszczenie – tyle mam od nich.



Okolice Czernicy, wczesny ranek, wrzesień 2018



Okolice Kobyły, styczeń 2013

Podoba mi się pustka na szlaku, nostalgia odczuwana późną jesienią i zimą, oczywiście ich wygląd, bardziej przypominający pagórki wyżyny niż góry. One są przyjazne dla wędrowca. Im lepiej je poznawałem, tym bardziej chciałem poznać dobrze, może w nadziei stania się tych górek moimi.

Pieczołowicie obejmuję je pamięcią, więc są moje i tak się w nich czuję: jak u siebie.

Czy decydując się pójść na Skopca w tamten styczniowy dzień, mógłbym przypuszczać, że oto

zaczynam wieloletnią przygodę? Przecież nie, a właśnie tak było. Nigdy nie wiadomo, jakie skutki mieć będzie nasza z pozoru drobna decyzja. Mój związek z tymi górami miał wielorakie skutki, nie tylko w sposobie spędzania wolnych dni; wydanie książek „górskich”, jak nazywam dwie pierwsze, treścią związane z Sudetami, także było rezultatem fascynacji Górami Kaczawskimi – jak i miejsce oraz sposób spędzania letnich urlopów w ostatnich latach, już emeryckich. Możliwe, że ta lista nie jest zamknięta, wszak przyszłość jest nieodgadniona.



Sądreckie Wzgórza, wrzesień 2018

Dzisiaj, idąc szlakiem pierwszej wędrówki, po raz pierwszy od kilku lat byłem na Skopcu, dachu Gór Kaczawskich. Rzadko tam bywam, bo po co, skoro widoków nie ma poza widokiem ludzi tam idących, aby pstryknąć sobie fotkę i odbić pieczętkę. Też kiedyś ją odbiłem, ale w minionych latach dotarła do mnie oczywistość: nie chodzi się po górach dla udowodnienia sobie lub komuś tego chodzenia. Wygląd szczytu i dróżki bardzo się zmieniły. Dwanaście lat temu szedłem wąską ścieżynką wśród młodych świerków, a zarośnięty i mało wypiętrzony szczyt trzeba było odszukać, dzisiaj zobaczyłem wydeptany wierzchołek i mocno przereźzony las. Pierwsza zmiana jest efektem wzrostu popularności turystyki górskiej, druga niepohamowanego wyrębu polskich lasów.

Statystyka

Średni dystans ostatnich dwudziestu wędrówek wynosi 19 km, przy skrajnościach od 13 do 26,5 km. Jeśli tę wartość ekstrapoluję na wszystkie przemierzone szlaki, otrzymam 3800 kilometrów, a zaznaczę tutaj, że jeszcze pięć lat temu moje trasy były nieco dłuższe niż obecnie; ot, takie znamię czasu, mojego siódmego krzyżyka. Więc przeszedłem po Górach Kaczawskich (i oczywiście po pogórze) 3800 km. Dla porównania: z Warszawy do Lizbony jest 3350 km.

Dzisiaj przejechałem samochodem 342 km. Najkrótsze wyjazdy liczą około 250 km, najdłuższe nieco ponad 350. Niech będzie, że średnio przejeżdżam 300 km. Odliczam jakieś 10% na dość rzadkie parodniowe wyjazdy, w czasie których przejeżdżam mniej w przeliczeniu na jeden dzień, ponieważ nocuję na terenie gór. Przyjmuję 270 kilometrów dojazdu na każdy dzień włóczęgi, a że było ich dwieście, wynik jest dość szokujący: jeżdżąc w Góry Kaczawskie i na pogórze, przejechałem 54 tysiące kilometrów. Okrążyłem Ziemię i jeszcze została rezerwa na wypadki w Himalaje lub w głąb Afryki, a przecież tylko się kręciłem między Leszmem a jednym pasmem sudeckim...

Zapytano mnie, czy mam odznakę PTTK „Korona Kaczawska”? Nie mam i nie wiem, czy spełniam kry-



Widok z Przełęczy pod Kobyłą, w oddali Rudawy i Karkonosze, marzec 2023

teria. Czy 16 tysięcy posiadanych zdjęć z tych gór może być dowodem, skoro innego nie mam? Chciałem też zauważyć, że jest bardzo mała grupka ludzi w tym kraju (a może tylko ja jeden), którym przysługuje odznaka pn. „Dwieście dni i cztery tysiące kilometrów”. Czy jest taka przyznawana?...

Opisy moich górskich wędrówek, uzupełnione zdjęciami, są w dwóch książkach dostępnych w wielu księgarniach internetowych. To „Sudeckie wędrówki” i „Góry Kaczawskie słowem malowane”.

Krzysztof Gdula

SUDETY W POEZJI (5)

(Z dzieła *Sudety w poezji, wybór tekstów XVII-XX w.*, opracowanego przez Przemysława Danielewskiego oraz Piotra Dacko, Elżbietę Książek i Witolda Papierniaka, z 1986 r.)

Kornel Ujejski

WĘDROWNIK

Wędrownik ja zstępuję z gór.
Tam ziemia śni w powiciu chmur,
Tęsknota mną po świecie rwie,
A serce pyta się: gdzie?
I słońce tu zda się tak mgłe,
Zwiędły tu kwiat, powietrze złe,
W dźwięku ich słowo próżnia i czczość,
Bo wszędzie ach! jam jako gość.
Gdzieżeś ty, gdzie, ojczyzno ma,
Z dziecinnych snów dusza cię zna,
Gdzież jest ten kraj zielony tak,
Gdzie w wieńcu róż śpiewa mój ptak,
Gdzie zmarłych rój na wieczny mir
Wzlatuje w mgłach przy brzęku lir,
Gdzie nasza krew spływa i łzy,
Kraju! gdzieżeś ty?

Kornel Ujejski (1823-1897), poeta, publicysta. Uczył się w Buczaczu, następnie od 1839 r. we Lwowie. Studiował w Paryżu. Debiutował wierszami w 1844 r. we Lwowie. Publikował później w Londynie i Lipsku. Związał się z grupą postępowych literatów galicyjskich. Przebywał w 1847 r. w Cieplicach. Wspólnie z poetą Wincentym Polem i czeskim geologiem Janem Ewangelistą Purkyně z synami odbył wędrowkę na Śnieżkę (przycoczony wiersz wiąże się z tą wędrowką). W 1848 r. był w Paryżu, gdzie poznał A. Mickiewicza i J. Słowackiego, skąd wrócił do Polski i osiadł na wsi. Działał w tajnej organizacji podczas powstania styczniowego. W latach 1877-78 był posłem do Rady Państwa w Wiedniu, reprezentował stanowisko demokratów. Tworzył poezję romantyczną, z patosem patriotycznym, wysuwał hasło walki narodowowyzwoleńczej. Pisał o niedoli chłopów, osądzał serwilizm pisarzy wileńskich. Zmarł w Pawłowie koło Lwowa.



Śnieżka. Fot. Jerzy Herman

Wybrał: Janusz Fuksa

Góra Tuł dobra na wiosnę (2)

Wierzchołek Tułu (621 m n.p.m.), jak wspominałem miesiąc temu w pierwszej części artykułu, w odróżnieniu od łupkowych północnych podnóży zbudowany jest ze znacznie odporniejszych wapieni cieszyńskich. Doskonale widać to w terenie: wyraźnie wydeptana ścieżka staje nagle dęba i ostatnie kilkadziesiąt metrów pokonuję tak jak słynną „diretissimę” Lackowej! Wilgotna, wapienna glina jest śliska, a do tego przysypana zeszłorocznym, butwiejącym listowiem, ale od czego są drzewa? Przytrzymując się tu i ówdzie, w końcu staję na szczycie góry – a w zasadzie na najwyższym punkcie wierzchołkowej szczytowej uformowanej tu w wyraźny grzbiet o przebiegu południowy zachód – północny wschód.



Zawilec gajowy



Zawilec żółty

Tu pstrykam zdjęcie kępcze zawilców żółtych – znacznie rzadziej spotykanych niż ich biali kuzyni. Zawilec żółty zakwita też nieco później niż gajowy, a do tego woli grądy niż lasy czysto bukowe. Rozglądam się. Z miejsca tego przez wąski pas drzew można zejść wprost na południe, na widoczną polanę. W pogodny dzień warto tu spocząć na chwilę w promieniach wiosennego słońca, by przypomnieć sobie dzieje badań tutejszej flory i zagmatwane losy rezerwatu na Tule.

Zainteresowanie florą Tułu i sąsiednich „wapiennych” wzgórz Pogórza Cieszyńskiego sięga końca wieku XIX. Bodaj pierwszym, który zwrócił na nią uwagę, był Emil Fiek (1840-1897) – niemiecki farmaceuta, aptekarz, ale z czasem również wytrawny botanik. Od 1867 r. związany był z Dolnym Śląskiem: mieszkał kolejno w Świdnicy, Dzierżoniowie, Mioszowie, by w końcu osiąść w Cunnersdorfie (dziś Kunice, w granicach Jeleniej Góry). W wydanej w 1881 r. pracy pt. „Flora von Schlesien, preussischen und österreichischen Antheils” zamieścił on pierwszą informację o licznie występujących tu storczykach.

Przed rokiem 1918 północne i wschodnie stoki Tułu należały do Komory Cieszyńskiej (majątku cieszyńskich Habsburgów), natomiast stoki południowe do indywidualnych rolników. Po I wojnie światowej, gdy ta część Śląska Cieszyńskiego znalazła się w granicach odrodzonej Polski, dobra habsburskie przejął skarb

państwa. Bogatą roślinność Tułu, w tym 3 gatunki storczykowatych (obuwik, storczyk kukawka i storczyk trójzębny), a także cisy i pakłony wspomniał jako pierwszy leśnik i działacz ochrony przyrody Andrzej Czudek (1901-1968) w wydanej nakładem Państwowej Rady Ochrony Przyrody pracy pt. „Osobliwości i zabytki przyrody województwa śląskiego” (Kraków 1929). W tym samym prawie czasie Marian Koczwara (1893-1970), botanik, wówczas młody pracownik Muzeum Śląskiego w Katowicach, a po wojnie wybitny farmakolog, specjalista od leków roślinnych, w wydanej przez to muzeum w 1930 r. pracy pt. „Szata roślinna Beskidu Ustrońskiego” również podkreślił wyjątkowość flory Tułu.

Bogactwo roślinne Tułu, w tym zwłaszcza storczykowych łąk, zauważyli także miejscowi przyrodnicy i – oczywiście – działacze turystyczni związani z Oddziałem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego „Beskid Śląski” z Cieszyna. Na pierwszym miejscu należy wymienić biologa Kazimierza Simma w latach 1922-1937 profesora w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszynie. W artykule pt. „Przyroda Beskidu Śląskiego”, opublikowanym w II Roczniku Oddziału PTT „Beskid Śląski” w Cieszynie (1931), przedstawił on szereg informacji o florze Tułu oraz o dosięgających ją zagrożeniach. Już wówczas wśród zanikłych lub skrajnie nielicznych storczykowatych wymienił on obuwika, storczyka kukawkę i podkolana białego, a wśród zagrożonych jeszcze 11 innych gatunków. Jako gatunek zanikający wymienił również lilię złotogłów.

W okresie międzywojennym najpełniejszy jak do tamtego czasu wykaz roślin z łąk na Tule podała prof. Aniela Kozłowska w 1936 r. Wśród 105 gatunków wymieniła ona 8 stwierdzonych przez siebie gatunków storczyków oraz przytoczyła dalszych 14 wskazanych przez Fieka, ale przez nią już nie odnalezionych. W tym samym 1936 r. na wniosek prof. Władysława Szafera, który osobiście zwiedzał Tuł w 1932 r., góra otrzymała status rezerwatu przyrody. Wspominała to śląska prasa, podkreślając jednocześnie, że zagrożenie dla Tułu nie minęło.

W tym miejscu do opowieści historyczno-przyrodniczej niezbędna jest dygresja ściśle historyczna. Otóż badania archeologiczne prowadzone na Tule od 1997 r. pozwoliły zidentyfikować istnienie na tej górze jednego z najbardziej interesujących w regionie obiektów obronnych, zasiedlanych przez ludność kultury łuzyckiej, prawdopodobnie o dużym znaczeniu strategicznym. Podczas kilku sezonów prac badawczych znaleziono tu szereg cennych artefaktów. W oparciu o dane porównawcze i o datowanie węglem C14 przyjęto, że gród był zasiedlony pomiędzy 900 a 450 rokiem p.n.e.

Wracam na szczyt i szeroko wydeptaną ścieżką grzbietową ruszam w kierunku południowo-zachodnim. Pomimo tego, iż to dzień powszedni, spotykam spacerującego tu młodego ojca z dwójką przedszkolnej dziatwy. To wygoda, której zażywają przedstawiciele wielu wolnych zawodów lub pracujących



Widok z Tułu na zach. Po prawej huta w Trzyńcu, na ostatnim planie pn. krawędź Beskidu Śląsko-Morawskiego, od Jaworowego (po lewej) po Godulę (po prawej)



Fiołki na szczycie Tułu



Kokorycz pusta o białych kwiatach



Ziarnopłon wiosenny

zdalnie: łatwo im wykroić 2-3 godziny na spacer z maluchami w południe we wtorek, gdy świeci słońce – pozostali muszą się zadowolić zimnym i mglistym weekendem... Grzbiet ocieniają drzewa, wśród których dojrzymy wysokie, stare czereśnie o smukłych pniach i wysoko usytuowanych koronach. Kiedy pokonuję tę trasę, są jeszcze zupełnie bezlistne, ale na niżej opadających gałązkach dostrzegam już nabrzmiewające pąki. Pięknie będą się prezentować za tydzień, może dwa, kiedy zakwitną! Póki co, spoglądam jednak pod nogi w poszukiwaniu kolejnych gatunków wiosennej flory.

Jakoż i są! Najpierw znana już czytelnikom kokorycz pusta, ale w formie z białymi kwiatach. Na niektórych stanowiskach udział białych osobników sięga czasem i 50%. Tu, na Tule, białe kwiaty spotykam tylko sporadycznie. Nieco dalej dostrzegam kępę ziarnopłonu wiosennego. Roślina ta najbardziej lubi żyzne grądy i lasy łęgowe. W naszej części Europy roślina rozmnaża się głównie wegetatywnie – większość kwiatów jest bezpłodnych, a nasiona powstają bardzo nielicznie, co znalazło odzwierciedlenie w jej nazwie. Wielokrotnie podziwiałem wielkie łany złocistożółtych kwiatów ziarnopłonu w łęgach nad Wisłą czy Brennicą, a i w mieście, w którym mieszkam, jest to zupełnie pospolity gatunek w wilgotnych laskach i zapuszczonych parkach.

Kierując się grzbietową dróżką na zachód, z lekkim odchyleniem ku południowi, przez kolejne płaty łąk rozdzielane wąskimi pasami lasu lub kępami drzew możemy przyjemnym spacerem w 25 minut dojść do Lesznej Górnej, skąd łatwo dostać się już do Cieszyna. Ja zadowolam się tym razem obfotografowaniem doliny Olzy, poza którą ciągnie się ciemny szereg szczytów Beskidu Śląsko-Morawskiego (zza Jaworowego chyba wychyla się ośnieżona jeszcze Lysá hora!), po czym odbijam w lewo w dół stoku. Po drodze uwagę moją zwraca jeszcze kępka fiołków – pierwsza zaobserwowana w dzisiejszym dniu. Fiołków mamy w Polsce ponad dwadzieścia gatunków, ale po krótkiej analizie przyjmuję, że to zapewne pospolity fiołek leśny typowy dla zespołów buczyn na wapiennym podłożu. To interesująca roślina: kwiaty zapylane są przez pszczoły zbawione barwnymi kwiatach i nektarem zbierającym się w ostrodze, a nasiona roznoszone są głównie przez... mrówki!

Zataczam łuk w lewo, ku wschodowi, na południowe zbocza góry. Pokrywa je szachownica łąk i rozległych kęp czyżni – krzaczastych zarośli, w których dominują tarnina, głóg i dzika róża, a towarzyszą im leszczyny, dzikie czereśnie i grusze. Łąki wyglądają przyzwoicie, ale wśród krzewów trudno znaleźć miejsca niewydeptane do gołej ziemi racicami owiec. Widok ten zwraca moje myśli ponownie ku zagmatwanej historii ochrony Tułu.

Na początku lat 30. prywatne tereny chłopskie zostały wykupione przez Cementownię Golezów. Znaczoną część terenu wówczas wylesiono, wycinając stare buki, lipy i jesiony. W końcowym okresie II wojny światowej zniszczenia dopełnili Niemcy, wycinając kolejne drzewa dla zapewnienia dojazdu, oczyszczenia pola ostrzału i na budowę umocnień usytuowanych na szczycie stanowisk artylerii przeciwlotniczej mającej

chronić pobliską hutę w Trzyńcu przed nalotami alianckimi. Uległa też zniszczeniu najbogatsza w storczyki łąka podszczytowa, którą w latach 1944 i 1945 dwukrotnie zaorano i obsiano owsem.

30 czerwca 1948 r. kopułę szczytową góry oraz jej wschodnie i północne stoki objęto formalną ochroną, tworząc rezerwat o powierzchni 15,69 ha – jeden z pierwszych w powojennej historii Polski. W latach 50. tereny na Tułę objęła spółdzielnia rolnicza prowadząca hodowlę owiec. Wkrótce jednak zniszczone zostało ogrodzenie rezerwatu i owce korzystały dowolnie z jego terenów.

Łąki były koszarowane, podsiewane trawami i nawozami mineralnymi. Po przejściu tego obszaru przez Rolniczy Kombinat Spółdzielczy w Goleszowie nawożenie prowadzono ...z samolotu! Świadkowie wspominali dni, kiedy cała góra, wraz z rezerwatem, była biała – ale nie od kwitnących tarnin i głogów, a od warstwy nawozów sztucznych.

Niekorzystne zmiany tutejszych zbiorowisk roślinnych potwierdzały dwie kolejne waloryzacje przyrodnicze przeprowadzone w latach 1984 i 1995. Wyeliminowanie koszenia i wprowadzenie gospodarki pasterkiej spowodowały rozrost zarośli. Z kolei zarośla, w których owce kryły się przed gorącem, pozbawione zostały całkowicie runa, a w nisko przygryzionej runi zaczęły dominować te gatunki traw, których owce nie zjadają. Próby zatrzymania tych niekorzystnych trendów, które podejmowali przez dziesięciolecia naukowcy i działacze ochrony przyrody, rozbiły się o ...nieuregulowane (z powodu bałaganu) sprawy własnościowe terenu! Ostatecznie po cichutku zdegradowano Tuł z kategorii rezerwatów i 31 lipca 2007 r. rozporządzeniem nr 41/07 Wojewody Śl. utworzono w gminie Goleszów użytek ekologiczny pod nazwą „Góra Tuł” (Dz. Urz. Woj. Śląskiego z 2007 r. Nr 128 poz. 2506).

Podziwiając widoki na piętrzące się przede mną Małą i Wielką Czantorię, powoli docieram do drogi, którą biegną zielone znaki z Goleszowa. Tu spotykam kolejną rodzinę z maluchami. Sądząc po ubiorze i wyposażeniu to również ekipa, która przyjechała tu na krótki spacer. Zarówno z polskiego jak i czeskiego Cieszyna dojazd samochodem zajmuje ze 20 minut. W tym samym czasie można dostać się do czeskiej Lesznej Górnej (Horní Líštná) miejskim autobusem z Trzyńca. Stąd teren ten, kiedyś sporadycznie odwiedzany, stał się prawie naturalnym przedłużeniem miejskich parków.

Za zielonymi znakami wracam w kierunku hotelu „Pod Tułem”. Przy drodze stoją w szeregu (na przestrzeni ostatnich 40 lat coraz bardziej przeredzonym...) stare klony polne (pąklony) o łuszczącej się korze,



Mała Czantoria spod Tułu

którymi przed blisko wiekiem zachwycał się profesor Simm. Jeszcze zupełnie bezlistne, ale na końcach gałązek widać już nabrzmiewające pąki. Zakwitną w maju wraz z rozwojem liści. Tak, trzeba przyjechać tu w maju. A jeszcze lepiej w czerwcu – wówczas będziemy mogli poszukać kwitnących storczyków. Podobno jeszcze kilka gatunków można tu spotkać!

Miroslaw J. Barański

Obserwatorium Astronomiczne na Lubomirze ma już stuletnią historię

Obserwatorium Astronomiczne im. Tadeusza Banachiewicza na Lubomirze zostało wybudowane jako filia Obserwatorium Krakowskiego w miejscu przedwojennej stacji obserwacyjnej. Stacja na Lubomirze była terenową jednostką Uniwersytetu Jagiellońskiego, więc prace badawcze prowadzili tam pracownicy Obserwatorium Krakowskiego, którzy byli jednocześnie kierownikami placówki.

Obserwatorium Krakowskie od 1791 roku miało swoją siedzibę w Krakowie na terenie nowo powstałego Ogrodu Botanicznego. Z początkiem XX wieku, w miarę rozwoju miasta, wzrastało zanieczyszczenie atmosfery, także światłem, co utrudniało, a nawet ograniczało obserwacje.

Z chwilą objęcia stanowiska dyrektora przez prof. Tadeusza Banachiewicza zaczęto rozważać jego pomysł utworzenia zamiejscowej stacji obserwacyjnej w górach. Gdy już na poważnie przystąpiono do tego projektu, to w założeniach przyjęto trzy podstawowe warunki, miejsce na stację należało znaleźć niedaleko Krakowa i mającym dobre z nim połączenia komunikacyjne oraz być możliwie jak najwyżej położonym.

Rozpoczęto poszukiwania w Beskidach, Górach Świętokrzyskich, także w Gorcach. Ostatecznie zdecydowano się na Łysinę odległą od Krakowa zaledwie o 33 km. Wysokość góry określano wówczas na 912 m n.p.m. W okolicy nie było rozwiniętego przemysłu ani zanieczyszczenia nieba światłem, w skali całego roku panowało tam małe zachmurzenie.

Zdano sobie sprawę z jeszcze jednej zalety tego miejsca, otóż przy dobrej widoczności szczyt można było dostrzec z Krakowa. Rzecz okazała się istotna, gdyż zamierzano wykorzystać tę dogodność do bezpośredniej komunikacji placówki z obserwatorium macierzystym. Zamierzano utrzymywać łączność za pomocą alfabetu Morse'a nadawanego przy pomocy heliotropu. Można było również skorzystać z telegrafu zamontowanego na stacji kolejowej w Kasinie Wielkiej oddalonej od stacji obserwacyjnej o około 9 km.

Właścicielem terenu na Łysinie był w owym czasie książę Kazimierz Lubomirski, który przekazał na rzecz stacji 10 ha lasu wokół szczytu oraz drewniany domek myśliwski. Kazimierz Lubomirski przypomnę, był w owym czasie dyplomatą i działaczem sportowym, pierwszym posłem RP w Waszyngtonie (1919–1922), w latach 1921–1929 prezesem Polskiego Komitetu Olimpijskiego, członkiem MKOL od 1923, posiadał majątki ziemskie o powierzchni 13 020 ha. Na cześć ofiarodawcy szczyt góry został w 1932 roku przemianowany



Tadeusz Banachiewicz



Domek myśliwski, przed werandą stoi założyciel obserwatorium prof. Tadeusz Banachiewicz 1934 [NAC]

na Lubomir, a nazwę Łysiną otrzymał jeden z niższych wierzchołków pasma.

Prace nad uruchomieniem placówki rozpoczęły się jesienią 1921 r., a stacja zaczęła działać w 1922 r., kiedy to w czerwcu wyruszyła z Obserwatorium Krakowskiego wyprawa wioząca sprzęt i zaopatrzenie, kierował nią Jan Gadomski, asystent Obserwatorium Krakowskiego i przyszły pierwszy kierownik stacji astronomicznej na Lubomirze, towarzyszył mu praktykant Antoni Czerniecki.

Podróże rozpoczynano koleją z Krakowa przez Chabówkę do Mszany Dolnej lub Kasiny Wielkiej

(trwało to ok. 5 godzin), a stamtąd wozem przeważnie zaprzężonym w woły przez przełęcz Jaworzyce na Lubomir. Przełęcz Jaworzyce znajduje się pomiędzy Wierzbanowską Górą a Lubomirem w Paśmie Lubomira i Łysiny. Jest niejako przełęczą oddzielającą Beskid Wyspowy od Beskidu Makowskiego, do którego należy Pasma Lubomira i Łysiny.

We wrześniu 1922 r. prace organizacyjne na szczycie góry były ukończone i stacja mogła funkcjonować. Placówka składała się z domku myśliwskiego, który jednocześnie przeznaczony był na mieszkanie dla obsługi, drewnianego pawilonu obserwacyjnego z otwieranym dachem,



Pawilon obserwacyjny na Lubomirze [NAC]

w którym mieściły się dwa refraktory: Steinheila z 135-mm obiektywem i Fraunhofera z 76-mm obiektywem. Obok pawilonu znajdowała się tak zwana gloriетка, czyli platforma, z której prowadzono obserwację nieba blisko horyzontu. Była jeszcze budka meteorologiczna z klatką angielską z termometrami, barometrem rtęciowym, aneroidami Fuessa i Goldschmidta, deszczomierzem Hellmanna i wiatromierzem Wilde'a umieszczonym na słupie. Takie to było jej wyposażenie. Do stacji obserwacyjnej nie pociągnięto przewodów prądowych. Jedynym urządzeniem elektrycznym (prąd był czerpany z akumulatorów) była radiostacja odbiorcza z trzystumetrową anteną, której używano głównie do nasłuchu sygnałów czasowych ze względu na znaczny pobór prądu. Domek myśliwski miał cztery pomieszczenia: kuchnię, pokój mieszkalny obserwatora, pokój pomocnika oraz pracownię, która była wyposażona w podręczną biblioteczkę, chronometr, odbiornik radiowy na akumulatory, arytmometr, biurko, stół i krzesła. Z braku prądu o telefonie można było pomarzyć.

Z czasem stacja się rozbudowywała, w 1925 został wybudowany drugi pawilon obserwacyjny, pojawiła się jeszcze luneta Merza z obiektywem 115 mm i 46-krotnym powiększeniem, a w latach trzydziestych został wmurowany słup służący do umocowania lunety. Stacja była wyposażona dość skromnie.

W okresie istnienia stacji na Lubomirze dokonywano głównie wizualnych ocen jasności gwiazd zaćmieniowych, gromadzono również dane meteorologiczne. Do spektakularnych osiągnięć zaliczyć należy odkrycie dwóch komet.

Pierwszą z nich odkrył 3 kwietnia 1925 Lucjan Orkisz. Odkrycia dokonał przy użyciu lunety Merza. Był to obiekt ósmej wielkości gwiazdowej (czyli około 6 razy ciemniejszy od najślabszych gwiazd widocznych gołym okiem) w gwiazdozborze Pegaza. Orkisz poświęcił się badaniom tej komety, która stała się podstawą jego pracy doktorskiej. Kometa ta została oznaczona jako C/1925 G1 Orkisz i była to pierwsza w historii kometa odkryta przez Polaka.

Drugą kometę odkrył Władysław Lis, pomocnik w stacji, mieszkaniec Węglówki. Historia jej odkrycia ma swoją dramaturgię i niestety także dla niego samego konsekwencje. Dostrzegł on 17 lipca 1936 gołym okiem w gwiazdozborze Małego Lwa rozmyty obiekt. Jak tylko upewnił się, że to kometa, postanowił niezwłocznie zawiadomić Obserwatorium Krakowskie, niestety minęła już godzina kontaktu heliotropem. Udał się niezwłocznie na stację kolejową do Kasiny Wielkiej, gdzie chciał skorzystać z telegrafu, a tam odmówiono mu dostępu do pomieszczenia z tym urządzeniem, więc komunikat mógł nadać dopiero następnego dnia rano. Wówczas dowiedział się, że kometę tę równocześnie z nim zaobserwował Japończyk Sigeru Kaho oraz pracujący w Aszchabadzie astronom Stefan Kozik, notabene polskiego pochodzenia. Władysław Lis uznany został już tylko za współodkrywcę komety, którą nazwano C/1936 OI Kaho-Kozik-Lis (od ich nazwisk). Dlaczego tak się stało? Jak wiadomo słońce najwcześniej zachodzi na wschodzie, więc tej samej nocy, tę samą kometę, w miarę jak zapadała ciemność, odkryli kolejno: najpierw Japończyk Kaho, potem Kozik w Kazachstanie, a na końcu Lis. Obydwie komety znalazły się w herbie gminy Wiśniowa.

Wybuchła II wojna światowa, która stacji przyniosła kres działalności, 15 września 1944 roku stacja została zniszczona przez hitlerowców. Spalone zostały zabudowania wraz z biblioteką i dziennikami

obserwacyjnymi z dwudziestu lat, a sprzęt skonfiskowany.

Po wojnie brano pod uwagę odbudowanie stacji, ale ostatecznie plany te długo nie były realizowane. Do pomysłu jednak powrócono, w gminie Wiśniowa 22 marca 2003 roku został zawiązany Komitet Odbudowy Obserwatorium Astronomicznego na Lubomirze. Przewodniczącym komitetu został wójt gminy Julian Murzyn. Utworzone zostały dwa zespoły: zespół programowy, którego przewodniczącym został prof. dr hab. Jerzy Kreiner oraz zespół finansowy, któremu przewodniczył Ryszard Leśniak.

Prof. Jerzy Kreiner jest obecnie pracownikiem Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie i sprawcą – w tym dobrym znaczeniu – obserwatorium astronomicznego w Gorcach na wniesieniu Suhora, które znajduje się na wysokości 1000 m n.p.m. i jest najwyższym położonym oraz jedynym wysokogórskim obserwatorium astronomicznym w Polsce. Niby do niego prowadzi droga, ale bez auta terenowego wjechać nie ma szans. Astronomowie zostawiają więc samochody w Koninkach i marszerują 1,5 godziny na piechotę.

Wokół Lubomira zaczynają się dziać istotne rzeczy. Urząd Gminy Wiśniowa 15 kwietnia 2005 składa wniosek o dofinansowanie odbudowy obserwatorium o nazwie „Odbudowa przedwojennego Obserwatorium Astronomicznego – Miasteczko Gwiazdne Lubomir”.

Niecały tydzień później, bo 27 grudnia 2005 Zarząd Województwa Małopolskiego podejmuje uchwałę o dofinansowaniu odbudowy obserwatorium.

Prace nabierają tempa, w lipcu 2006 roku wmurowany zostaje kamień węgielny. W niespełna rok później, 18 kwietnia 2007 roku podjęta zostaje uchwała o nadaniu Obserwatorium Astronomicznemu na Lubomirze imienia Tadeusza Banachiewicza, a otwarcia dokonano 6 października 2007 r. Wyposażenie oraz sprzęt do obserwacji sfinansowały trzy uczelnie: Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Pedagogiczny oraz Uniwersytet Mikołaja Kopernika. Ta niewielka stacja, doszczętnie spalona we wrześniu 1944 roku, została odbudowana jako jedno z dwóch górskich obserwatoriów w roku 2007.

Sto lat po uruchomieniu przedwojennej stacji, 24 września 2022 roku, na szczycie Lubomira obchodzono uroczystości upamiętniające to wydarzenie. Organizatorem obchodów były gmina Wiśniowa – właściciel obserwatorium i Szkoła Podstawowa im. św. Józefa w Węglówce – zarządzająca obiektem. Patronat honorowy nad obchodami objęli Witold Kozłowski – marszałek województwa małopolskiego i Józef Tomal – starosta powiatu myślenickiego.

Jubileusz zgromadził przy budynku obserwatorium przedstawicieli samorządu województwa, gminy Wiśniowa, gospodarzy stacji, naukowców, turystów i miłośników astronomii. Nie zabrakło także mieszkańców Węglówki, a podczas mszy grała orkiestra dęta OSP. Wśród gości obecni byli: wicemarszałek województwa



Obserwatorium Astronomiczne na Lubomirze



Węzeł szlaków na Lubomirze

małopolskiego – Józef Gawron, starosta powiatu myślenickiego – Józef Tomal, wójt gminy Wiśniowa – Bogumił Pawlak.

Obserwatorium zostało uhoonorowane za całokształt działalności naukowo-badawczej oraz popularyzowanie astronomii Złotym Medalem Polonia Minor, który wręczył wicemarszałek Józef Gawron wraz z radnym Robertem Bylicą, nagrodę odebrali wójt Bogumił Pawlak z dyrektorką Szkoły Podstawowej w Węglówce Barbarą Jugowiec.

Już po części oficjalnej, na którą czekali liczni turyści, a szczególnie miłośnicy astronomii, dr Marcin Cikała, obecny kierownik obserwatorium, przybliżył historię obiektu, zwłaszcza tę mniej znaną. Można było zwiedzać pomieszczenia stacji, w których organizowane są m.in. nocne pokazy nieba i dzienne obserwacje Słońca.

Nie zabrakło także imprezy towarzyszącej, członkowie Klubu Krótkofalowców Dolina Raby SP9KDR łączyli się z różnymi miejscami w Europie, publikując informacje o 100-leciu obserwatorium.

Z pewnością lokalizacja obserwatorium na szczycie góry jest korzystna, a największym atutem tego miejsca jest ciemne niebo na południu. Północna część nieba na północnej półkuli nie jest dla astronomów tak istotna. Dlaczego? Południowa strona nie jest ciekawsza, rzecz w tym, że to wszystko, co w tej chwili jest po północnej stronie nieba – nisko nad horyzontem albo nawet poniżej, za pół roku będzie wysoko na południu, bo Ziemia przesunie się wokół Słońca. Nie ma więc sensu prowadzić obserwacji na północy, gdzie przeszkadza warstwa atmosfery znacznie grubsza niż blisko zenitu.

Żadne obserwatorium w Polsce nie prowadzi tak aktywnej działalności popularyzatorskiej, edukacja jest tu najważniejszą powinnością.

Ryszard M. Remiszewski



Wręczenie Złotego Medalu Polonia Minor (Od lewej) Robert Bylica, Barbara Jugowiec, Bogumił Pawlak, Józef Gawron



Złoty Medal Polonia Minor

NA SZLAKU
www.na-szlaku.net

Polub nas na Facebooku!

Wilcza Struga

Wilcza Struga. Tę nazwę nosi zapewne kilka rzeczek i strumieni w Polsce, jedna z nich płynie przez północne rejony Puszczy Kampinoskiej i zapewne znana jest okolicznym mieszkańcom i turystom, inna płynie w okolicach Szczecina przez Wzgórza Warszawskie. Jest też Wilcza Struga koło Torunia, a dokładniej na granicy Torunia i Lubicza, dużej wsi gminnej, jednej z „sypialni” Torunia. Mamy jednak mały ambaras, bo na żadnej mapie takiej nazwy w tej lokalizacji nie znajdziemy. Co innego mapy, co innego życie. Niejeden strumień, rzeczka czy góra mają



Kajakarstwo pod-lodowe – Wilcza Struga (źródło: kajakajak.pl)

swoje nazwy zwyczajowe niezależnie od tych na mapach. Tak jest w przypadku Wilczej Strugi. Oficjalnie jest to Struga Lubicka z racji sąsiedztwa ze wspomnianym Lubiczem. Płynie częściowo w granicach miasta, fragment stanowi granicę Torunia, a część najbliższej ujścia do Drwęcy płynie przez Lubicz. Za początek Wilczej Strugi uważa się jaz w dzielnicy Bielawy. Tam bierze początek miejski odcinek Strugi Toruńskiej - Mokrej Bachy (Der Bach, niem. potok, strumień, ruczaj). Owa struga popularnie nazywana jest w Toruniu Bachą. No i mamy zamieszanie. Już wyjaśniam. Pierwotnie Bacha od zawsze płynęła sobie do Drwęcy, aż przybyli Krzyżacy, którzy od wspomnianych Bielaw przekopali kanał do miasta, a właściwie do swojego zamku. Po drodze woda kanału została spiętrzona, by napędzać młyny, zasilać browar i zamkową kuchnię, a także służyć za spłuczkę pod wieżą toaletową (dankserem). Zatem Wilcza Struga to końcowy, nieco ponad pięciokilometryowy odcinek właściwej Bachy – Strugi Toruńskiej. Jest to też najciekawszy odcinek przebijający się przez wydmy, mający miejscami charakter górskiej rzeczki. Przy wysokim stanie wody, po obfitych deszczach lub podczas roztopów jest miejscem spływów kajakarzy górskich z toruńskich i bydgoskich klubów. Uprawiają oni tzw. kajakarstwo zwalkowe. Nie brak tu bystrzy, wysokich progów, samotnych głazów i głazowisk, przepustów i ciasnych zakrętów, o zwalonych drzewach nie wspominając. Potok dostępny jest tylko dla doświadczonych kajakarzy górskich. Zainteresowanym polecam zajrzeć na <http://www.kajakajak.pl/wilcza-struga/> Na YT znaleźć można kilka bardzo ciekawych filmów dla widzów o mocnych nerwach.



Jeden z progów na Wilczej

Spacerowicze rzadko zaglądną nad Wilczą, nad jej najciekawszy fragment, choć las na zachód od strugi to popularny teren spacerowy mieszkańców wschodnich dzielnic Torunia. Spacerowicze korzystają jednak z alejek i ścieżek wytyczonych w granicach miasta. Dojście do odcinka strugi wzdłuż granicy miasta to 3 kilometrowy spacer na wschód z pętli tramwajowej przy ul. Olimpijskiej. Ten fragment widoczny jest także z pociągu relacji Toruń – Sierpc. Pociąg jedzie tam na wysokim nasypie i przez chwilę otwiera się widok na dolinę Wilczej Strugi. Rzeczka płynie ku wschodowi pod autostradą A1 i dalej przez osiedle Wilczy Młyn, by w Lubiczu Dolnym „wpaść” w objęcia Drwęcy.

Juliusz Wystouch

Ruiny huty „Józef” w Samsonowie

Zabytki dawnej techniki i związane z nimi turystyka przemysłowa i krajoznawcza stają się coraz powszechniejsze. Wiele osób chce bowiem zobaczyć i poznać różnego rodzaju zakłady przemysłowe i ich specyfikę oraz technologie produkcji. Szczęólnego znaczenia w takim poznawaniu przestrzeni geograficznej nabierają dawne zabytki techniki industrialnej. Tego typu obiekty znaleźć można w wielu zakątkach Polski, ale w niektórych regionach są ich większe skupiska. Jednym z takich miejsc jest Świętokrzyski Szlak Zabytków Techniki, do którego należą również ruiny huty „Józef” w Samsonowie.

Samsonów położony jest w zachodniej części gminy Zagnańsk, w północnej części powiatu kieleckiego, w województwie świętokrzyskim. Omawiana wieś znajduje się kilka kilometrów na zachód od drogi ekspresowej S7, łączącej tam Kielce z Warszawą. Od arterii tej odbiega na zachód do Ćmińska droga wojewódzka nr 750. Obok niej właśnie, w środkowej części Samsonowa,



Ruiny huty „Józef” w Samsonowie na Szlaku Zabytków Techniki



Ruiny wielkiego pieca widziane od strony odlewni



Wnętrze wielkiego pieca

przy skrzyżowaniu dróg, znajdują się ruiny huty „Józef”. Ten poprzemysłowy zabytek dobrze widoczny jest z drogi DW750 i stanowi charakterystyczny punkt odniesienia w tamtejszym krajobrazie.

Góry Świętokrzyskie, w których położony jest Samsonów, zasobne są w rudy żelaza. Były one tam już eksploatowane i przetapiane w starożytności. Oprócz łatwo dostępnych surowców metalicznych czynnikiem sprzyjającym rozwojowi metalurgii w tym regionie stały się zasoby drewna pozwalające na pozyskiwanie węgla drzewnego. On wspólnie z rudą żelaza stanowił

Ruiny wielkiego pieca i wieży gichtociągowej

wsad do pieca hutniczego. Dawne hutnictwo bazowało jednak na niewielkich piecach dymarskich, które pozwalały uzyskać jednorazowo kilkanaście kilogramów metalu. Przełomem w produkcji metalurgicznej stał się wielki piec, a pierwszy tego typu obiekt przemysłowy w Polsce zbudowano właśnie w Samsonowie.

Pierwszy wielki piec hutniczy w Samsonowie powstał w XVI wieku, kiedy to w okolicy znaleziono złoża rud żelaza. Budowniczym huty był Włoch Hieronim Caccio. Z czasem jednak zakład popadł w ruinę, ale na początku ostatniego ćwierćwiecza XVII stulecia zbudowano drugi piec szybowy w tym miejscu. W drugiej dekadzie XIX wieku zdecydowano jednak o modernizacji huty i jej rozbudowie. Wielkie zasługi odegrał tu Stanisław Staszic oraz generał książę Józef Zajączek, którego imieniem nazwano nowy zakład metalurgiczny. Projektantami nowoczesnej, jak na tamte czasy, huty byli Bogumił Szmidt i Fryderyk Lampe, a wznosili ją budowlańcy z Saksonii. W dużym kompleksie metalurgicznym oprócz pieca hutniczego działały również fryszerka, kuźnice, walcowania, odlewnia i druciarnia. Huta „Józef” w Samsonowie swą produkcję ukierunkowała głównie na potrzeby wojskowe, choć wytwarzano w niej także elementy budowlane oraz części maszyn i narzędzi gospodarczych. Zakład metalurgiczny dotrwał do połowy lat 60. XIX wieku, kiedy to uległ zniszczeniu w wyniku pożaru. Niesprawnej huty już nie odbudowano, gdyż pobliskie



Wnętrze wieży gichtociągowej

złoża rud żelaza były w tamtym momencie skromne, a kombinaty metalurgiczne w innych regionach zaboru rosyjskiego stawały się coraz bardziej konkurencyjne.

W latach swojej największej świetności, przypadającej na



Ruiny emalierni

połowie XIX wieku, huta „Józef” w Samsonowie była dużym zakładem przemysłowym. Jego centralną część stanowił cylindryczny wielki piec, za którym wzniesiono wysoką czworoboczną wieżę gichtociągową. Służyła ona do wyciągania i wsypywania od góry wsadu do wielkiego pieca i do chwili obecnej jest najwyższą częścią omawianego kompleksu. W pomieszczeniu obok wieży pod koniec lat 20. XIX wieku pracować zaczęła maszyna parowa, która napędzała miechy właczające powietrze do pieca. Za wieżą wyciągową było też zainstalowane koło wodne, do którego doprowadzona została kanałem woda z pobliskiej rzeki Bobrzy. Przed wielkim piecem znajdowała się z kolei odlewnia, a obok niej kuźnia, modelarnia i suszarnia oraz emaliernia. Przed odlewnią mieścił się jeszcze dziedziniec fabryczny. Ruiny wielkiego pieca, wieży gichtociągowej i innych pomieszczeń huty są dziś poprzemysłową atrakcją turystyczną Samsonowa. Udostępniono je dla ruchu turystycznego na początku lat 80. ubiegłego wieku, zaś w połowie lat 60. XX stulecia huta „Józef” wpisana została do rejestru zabytków.

Ruiny wielkiego pieca hutniczego w Samsonowie nie są jedynym tego typu obiektem poprzemysłowym w północnej części województwa świętokrzyskiego, choć tworzą one największy kompleks XIX-wiecznej produkcji metalurgicznej w tym rejonie. Na północy Gór Świętokrzyskich w XIX wieku rozwijany był intensywnie Staropolski Okręg Przemysłowy, którego główną osią stała się rzeka Kamienna. Dużą rolę w produkcji przemysłowej w tym zagłębiu odegrała metalurgia, a pierwszy wielki piec hutniczy powstał właśnie w Samsonowie. Dziś ruiny huty „Józef” są poprzemysłowym dziedzictwem regionu świętokrzyskiego i stanowią jego osobliwą atrakcję turystyczną na tamtejszym Szlaku Zabytków Techniki.



Ruiny wieży gichtociągowej – najwyższej części dawnej huty „Józef”

Krzysztof Miraj

Trzydziestolatek, czyli „błoto jak złoto”

Pamiętam, jakby to było kilka dni temu – dojechałem do Osowca, gdzie w szkole była tymczasowa siedziba dyrekcji nowego parku narodowego. W jednej z klas przy stoliku siedział młody mężczyzna w mundurze leśnika i coś rysował. Zjrzałem przez jego ramię – szkicował sylwetki ptaków. Odpowiedział, że projektuje herb, znak rozpoznawczy parku, w którym od niedawna pracuje. To było kilka wersji *b a t a l i o n a*, ptaka z biebzańskich łąk turzycowych.

Drugi obraz spod moich powiek jakoś nie może wyjść, to w niespełna rok później wielka uroczystość – oficjalna inauguracja Biebzańskiego PN. Zaistniał jako największy tej klasy obiekt chroniony w Polsce. Zjechało się na tę imprezę w upalny dzień do Osowca, do wypełnionej po brzegi sali gimnastycznej osowieckiej szkoły przytulonej do sławnej carskiej twierdzy z XIX wieku mnóstwo osób. To było wydarzenie absolutnie niezwykle, bowiem w uroczystości 25 maja 1994 roku uczestniczył dobroczyńca nowego parku **książe Bernhard Leopold Friedrich Eberhard Julius Curt Karl Gottfried Peter zu Lippe-Biesterfeld**, małżonek **Juliany** – królowej Holandii. Abdykowała ona na rzecz córki **Beatrikx**, obecnie



po kolejnej abdykacji w 2013 roku Niderlandom króluje jej syn **Willem-Alexander**.

Wypada wspomnieć, że po ślubie młoda para udała się w podróż poślubną do Polski, przebywając m.in. w Krakowie, Krynicy i w Nawojowej oraz niezwykle choć jak najbardziej naturalne następstwo tego pomieszkiwania w hotelu należącym do świetnego „polskiego słowika” tenora **Jana Kiepury**. Dostojną parę podejmował starym zwyczajem kuliem i polowaniem na dziki w swoich rozległych lasach Beskidu Sądeckiego w masywie Jaworzyny i Prehyby oraz pałacu w Nawojowej **hrabia Adam Stadnicki**. W niecały rok potem urodziła się **Beatrix** – kolejna królowa Niderlandów obdarowana przez polskich leśników wspaniałą kołyską zaprojektowaną przez wybitnego polskiego architekta – Jana Bogusławskiego.

Przy stole prezydialnym z ogromnym wazonem pełnym kwiatów książę małżonek miał dyskretnie schowaną butelkę wina, z której co pewien czas czerpał, jakby dla złagodzenia nieznośnego majowego upału i rozlicznych biebrzańskich nienasyconych komarów. Towarzyszył mu **Stanisław Żelichowski** minister Ochrony Środowiska Zasobów Naturalnych i Leśnictwa oraz kilku wojewodów z północno-wschodniej części kraju.

O Biebrzańskim PN nie będę się rozpisywał, bowiem od trzydziestu lat jest na tyle sławny, że szanujący się krajoznawca, turysta, przyrodnik amator, a na pewno świadomy walorów tego chronionego skarbu zapewne wie немало albo jeszcze więcej niż autor tego tekstu. Koniecznym jednak muszę dopowiedzieć, co znaczy wcześniejsze sformułowanie „dobroczynca nowego parku, książę Bernhard”. W istocie rzeczy rodowity Niemiec z Nadrenii Westfalii, ale...

Urodził się jako syn księcia Bernharda zur Lippe, ale z przyczyn formalnych i zwyczajów jego rodziny otrzymał jedynie tytuł hrabiowski, a od 1911 roku miał tytuł księcia zur Lippe-Biesterfeld. Po I wojnie światowej jako nastolatek mieszkał i swawolił, jeździł konno i polował na dzisiejszej naszej Ziemi Lubuskiej w kolicach Wojnowa, opodal Sulechowa. Gimnazjalistą i maturzystą został w Berlinie. Studiował w stolicy Niemiec i szwajcarskiej Lozannie.

W czasach hitlerowskich odsłużył swoje w Wehrmachcie, został pilotem i podjął potem pracę w osławionej firmie chemicznej IG Farben znanej z produkcji śmiertelnie działającego gazu używanego w programie nazistowskim „rozwiązania kwestii żydowskiej”. Od 2010 roku wiadomo, że służył w SS – konnej tajnej policji. Pomiędzy innymi jako protestant z tytułem księcia, ale z motywów politycznych został zaakceptowany przez Wilhelminę królową Holandii jako kandydat na męża jej córki **Juliany**, następczyni tronu.

W czasie II wojny światowej przebywał w Wielkiej Brytanii, był pilotem, wspomagał holenderski ruch oporu, a w 1944 roku pozostał w Anglii po ataku niemieckim, wysłał następnie żonę z dziećmi do Kanady. W Anglii służył jako pilot (nie zaakceptowano jego oferty pracy w wywiadzie), 1944 roku został naczelnym dowódcą wojsk holenderskich, rok później wraz z rodziną powrócił do Holandii. Był osobistym sekretarzem królowej Wilhelminy.

Ale skąd jego zasługi dla polskiego Biebrzańskiego PN? Otóż **książę Bernhard był założycielem World Wide Fund for Nature (WWF)** i przewodniczył tej organizacji o światowym zasięgu w latach 1962-1976. Jego następcą w tej roli w latach 1981-1996 był też nie byle kto, bo **Filip Mountbatten** (1921-2021), książę Edynburga, mąż wielkobrytyjskiej królowej **Elżbiety II**. W okresie intensywnych wieloletnich starań o wsparcie polskich programów ochrony przyrody z WWF zyskał je projekt utworzenia Biebrzańskiego PN.

Jednym z najbardziej zasłużonych dla powstania tego parku jest leśnik **Krzysztof Wolfram** (1946) „zielony podlaski poseł” II kadencji 1993-1997, wspólnie z tak znanymi ekologami jak **Stefan Kozłowski**, **Jan Komornicki**, **Jan Rzymelka**, **Radosław Gawlik**, **Janusz Okrzesik**. W parlamencie była wtedy grupa ok. 20 osób, które czuły problematykę ekologiczną i potrafiły działać. Udało się nam zmienić prawo ekologiczne. Wolfram jako przewodniczący Komisji Ochrony Przyrody ZG PPTK doprowadził do uchwalenia programu ochrony jednej czwartej części Polski, czyli obszaru Funkcjonalnego „Zielone Płuca Polski” oraz uchwały sejmowej w tej samej sprawie. Gdy powstawały zręby ustaw w dziedzinie ochrony środowiska, prawa wodnego, ochrony przyrody, ochrony zwierząt Wolfram przyczynił się do nowelizacji ustaw o lasach i o polityce regionalnej państwa.



Powstawały koncepcje tworzenia parku narodowego na obszarze całej Puszczy Białowieskiej, Mazurskiego PN, ale bez sukcesu. Program ZPP uzyskał **Międzynarodową Nagrodę Ekologiczną „Zielonego Liścia”** od Fundacji Forda dla **Krzysztofa Wolframa i Zdzisława Szki-rucia**, współtwórcy w 1976 roku pierwszych polskich parków krajobrazowych – Suwalskiego PK i Wigierskiego PK. W 1995 roku Krzysztof Wolfram otrzymał prestiżową **Europejską Nagrodę im. Kurta Bindinga**, a Porozumienie ZPP zyskało wsparcie finansowe od rządu Północnej Nadrenii i Westfalii na rozbudowę infrastruktury turystycznej w Dolinie Górnej Narwi.



Biebrza w Biebrzańskim Parku Narodowym.
Fot. <https://zpppn.pl/biebrzanski-park-narodowy-pl/park>

Zapewne wspomnienia księcia Bernharda związane z pobytem w latach młodości na Ziemi Lubuskiej i podróż poślubna w 1937 roku do Krakowa, Krynicy i Nawojowej w powiązaniu z faktem narodzin księżniczki Beatrix były tak dla niego ważne, że wspierał nasze starania o utworzenie Biebrzańskiego PN. Ze środków pomocowych finansowane były opracowania map, badania opinii społecznej w sprawie powołania parku narodowego, konferencje ekologiczne i podróże studyjne dziennikarzy nad Biebrzę i Narew.

Dlatego przybycie księcia Bernharda na uroczystość inauguracji Biebrzańskiego PN nie została przyjęta jako coś nadzwyczajnego, ale jak najbardziej naturalne potwierdzenie jego sentymentalnych wspomnień z młodych lat spędzonych na Ziemi Lubuskiej. Początki BbPN sięgają 1989 roku, gdy sukcesem zakończyły się starania Towarzystwa Biebrzańskiego o utworzenie **Biebrzańskiego Parku Krajobrazowego**, czyli ochronę terenów basenów biebrzańskich – dolnego i środkowego. W 1995 roku park wpisano na listę **Konwencji Ramsar**, czyli ochrony terenów wodno-błotnych. Cały BbPN od 2010 roku jest na liście **Bird Life International**.

Los przyrody jest zmienny i tylko częściowo zależny od człowieka. W kwietniu 2020 roku żywioł ognia zniszczył 5280 ha cennego **terenu Czerwonego Bagna**. Na ratunek pospieszyło ponad 2 tysiące strażaków i leśników, żołnierzy obrony terytorialnej i okolicznej ludności. Ponadto 6 samolotów gaśniczych i 2 śmigłowce wykonały ponad tysiąc zrzutów wody. Akcja ratownicza tylko częściowo skuteczna kosztowała prawie 8 milionów złotych. Sprawcy pożaru pozostali nieznani. Straty poniosła najcenniejsza przyroda – pokolenie 14 gatunków ptaków wodnych i błotnych, m.in. wodniczki, brzeczka, świerszczaka.

Jubileuszowy 2023 rok przebiega pod hasłem **Rok Biebrzańskiego Parku Narodowego**. Warto o nim wiedzieć więcej, odwiedzić z lornetką i aparatem fotograficznym, podziwiać unikalny charakter tego parku, poznać walory i dzieje przyrody bagien biebrzańskich i dziedzictwo kulturowe tego podlaskiego skarbu. Bo dla polskiej przyrody „błoto to złoto”

Tomasz Kowalik



Uroczyste, już 90. urodziny Koziółka Matołka!

Zdobywacie szanowni czytelnicy różne odznaki PTTK. A Odznakę Krajoznawczą Śladami Koziółka Matołka już zdobyliście? Można ją zdobywać już od 10 lat., bo została ustanowiona przez ZG PTTK w 2013 r.

Zanim jednak porozmawiamy o tej odznace, wypada wspomnieć o sympatycznym Koziółku i „ojcach”. A jest ku temu szczególna okazja. Bo w maju 2023 r. Koziółek Matołek kończy 90 lat. W 1933 r. bowiem roku ukazało się w Polsce pierwsze wydanie 120 przygód Koziółka Matołka. Faktycznie ukazało się to wydanie 28. 11. 1932 r a jest datowane na 1933 r .

Autorem tekstu nie zwykle popularnych do naszych czasów niezwykłych przygód sympatycznego Koziółka był Kornel Makuszyński. Opowiastki te rysunkami przyozdobił Marian Walentynowicz

Kornel Makuszyński (1884–1953) w okresie międzywojennym był najbardziej popularnym polskim pisarzem utworów dla dzieci. Studiował na Uniwersytecie Jana Kazimierza w Lwowie i na Sorbonie w Paryżu. Odbył wiele podróży po Europie (Włochy, Niemcy). Zakochał się w architekturze zakopiańskiej i co roku kilka miesięcy przebywał pod Tatrami. Służył w Armii Ochotniczej w czasie wojny z Rosją w 1920 r. Przebywając w Zakopanem wiele czasu poświęcał na rozwijanie narciarstwa wśród młodzieży. Inicjował zbiórki pieniężne na sprzęt sportowy dla najbiedniejszych góralskich dzieci. Na organizowanych dla niej zawodach dostarczał jako nagrody 1 000 par nart. Jedną taką parę odrzynał Staś Marusarz. To Makuszyński rozwiął u tego góralskiego chłopca zamiłowanie do sportu. A Marusarz to czołowy polski skoczek narciarski, v-ce mistrz świata wskokach z 1938 r w Lahti. W czasie wojny Marusarz jako członek ZWZ, a potem ppor. AK, pełnił rolę kuriera na trasie: Zakopane –Budapeszt. Dwukrotnie schwytyany przez Słowaków i oddany gestapo. Za swój skok życia uważał skok przez okno z pierwszego piętra gestapowskiego więzienia przy ul. Montelupich w Krakowie.

A jeśli chodzi o Makuszyńskiego, to w czasie powstania warszawskiego współpracował z prasą podziemną. To on był inicjatorem budowy sanatorium dla dzieci na Gubałówce. W 1939 r. bomba niemiecka trafiła w jego mieszkanie i zniszczyła rękopisy i zbiory sztuki, w tym rękopis *Drugich wakacji szatana*. W 1945 r. objęty został zakazem publikacji i szykanowany przez ówczesne władze, bo miał zły wpływ na młodzież. Choć udało się jeszcze wydać jego *Listy z tamtego świata*. Osamotniony, żył w zapomnieniu i ubogo w niewielkim mieszkaniu w Zakopanem. Makuszyński umiera w 1953 r. i zostaje pochowany Na Cmentarzu Zasłużonych na Pękowym Brzysku.

Makuszyński był niezwykle płodnym pisarzem, autorem ponad 50 różnego rodzaju utworów. Najbardziej znane to: *Awantura o Basię* (sfilmowana w 1959 r.). W 1936 r. ukazały się *Awantury i wybryki malej małpki Fiki - Miki*. Z pewnych względów dość głośna jest jego powieść z 1928 r *O dwóch takich co ukradli księżyc* (też sfilmowana z dwoma obecnie bardzo słynnymi postaciami). Wydaną w 1937 r powieść dla młodzieży *Szatan z siódmej klasy* sfilmowano w 1960 r. (z debiutem Poli Raksy) i ponownie w 2006 r. Lwowiaczy z łezką w oku powędrują po zakamarkach Lwowa oprowadzani przez skauta Michała w książce Makuszyńskiego *Uśmiech Lwowa*. Zabawne zapewne jest opowiadanie, napisane w 1930 r. *Przyjaciele wesołego diabła* (oczywiście też sfilmowane w 1987 r.)

W jego książkach triumfuje optymizm i wiara w dobro natury ludzkiej, połączone z humorem i liryzmem. Zawsze też występują elementy patriotyzmu. Taki też jest bohater jego najsłynniejszego utworu, to *120 przygód Koziółka Matołka*. Koziółek Matołek to postać literacka. Utwór został napisany w Otwocku, gdzie autor leczył się na cukrzyce. Autor napisał go wspólnie z Marianem Walentynowiczem, który do każdego tekstu przygód bohatera utworu dołączył odpowiednie rysunki. Wspomniano już że Koziółek ukazał się w 1933r. Potem w następnych latach ukazały się: *Druga*, *Tarcia* i *Czwarta część przygód koziółka*. Przygody tego koziółka, to jedna z pierwszych w Polsce historyjek obrazkowych dla dzieci, wiąż popularna, mimo, że ukazała się 90 lat temu, Historyjkę Koziółka Matołka można uznać za pierwszy w Polsce komiks

Bohater komiksu wędruje po Polsce i po świecie, szukając mitycznego Pacanowa, gdzie kozy kują. Jest sympatyczny, łatwowierny, niezdarny, dobrotliwie naiwny i doświadcza absurdalnie nieprawdopodobnych przygód. Jest też wesoły, a jego burzliwe przygody bawią dzieci Jego historia opowiedziana jest w postaci rytmicznych czterowierszy, ośmiozłogłosek. A do każdego czterowiersza przypisana jest ilustracja Walentynowicza.

A gdzie ten koziółek nie był i co wyprawiał?. W Afryce z ostaje szejkiem Beduinów. Jest w odwiedzinach u niedźwiedzia i pływa z wielorybami. Na Księżycu rozmawia z Twardowskim. Dociera do: Chin, Indii i Afganistanu. W Zakopanem startuje w zawodach narciarskich. Dociera do Nowego Yorku. W Ameryce spotyka się z Indianami, na Alasce szuka złota. Ale za kradzież kapusty siedzi w wwiezieniu. Oczywiście wędkował też i po Polsce. Był w Gdyni, Warszawie, w Smoczej Jamie w Krakowie.

W końcu udaje mu się dotrzeć do Pacanowa. I tu dowiaduje się, że w tym miasteczku mieszka i pracuje rodzina kowali o nazwisku Koza. , czyli „Kozy kują”. Życzliwi tłumaczą mu że kozy nie potrzebują podków.

Czym Koziółek strasznie się pociesza, Zostaje z dziećmi w Polsce i chodzi z nimi do szkoły. Polskie dzieci namawiają go, by z nimi pozostawał i już nigdzie nie wyjeżdżał. I Koziółek nie starzeje się, bo w bajeczkach bohaterowie są zawsze młodzi.

W rozslawionym przez Makuszyńskiego Pacanowie, miejscowości, w której zakończył swoją podróż Koziółek Matołek, w 2010 r. powstało Europejskie Centrum Bajek. To wyjątkowe miejsce jest dziecięcym centrum kultury pracującym z dziećmi. W wielkim kompleksie budynków przypominających wielkie. Baby piaskowe mieszczą się: Muzeum Postaci Bajkowych, Biblioteka Literatury Dziecięcej, sale kinowe i sala teatralna, sklep z pamiątkami i kawiarnia. Kompleks obejmuje też ogród edukacyjny i amfiteatr. Muzeum prowadzi różnorakie warsztaty animacyjne i imprezy rozwijające wyobraźnię dzieci. Jest też mały czarny baranek, który nie ma jeszcze imienia. Stąd trwa nieustający konkurs z nagrodami, na wymyślenie wyjątkowego imienia barankowi. Organizowany jest też konkurs literacko – plastyczny, na narysowanie ilustracji do dowolnej bajki, lub wiersza A. Fredry. Centrum to łączy funkcje wychowawcze i rozrywkowe. Nic więc dziwnego, że jest ono licznie odwiedzane, a liczba gości przekracza 200 000 rocznie.

Pacanów to miejscowość leżąca na Poniziu, niedaleko Buska Zdroju. Koziółka Matołka spotykamy w wielu miejscach miasteczka. Na Rynku spotykamy się też z postaciami z innych bajek. Oczywiście jest też pomnik koziółka. W Pacanowie można też w Rynku podziwiać ratusz,. To współczesna budowla z XX w. W pobliżu znajduje się XIII-to wieczny kościół. Obecnie jest to bazylika z Sanktuarium Jezusa Konającego.

Turyści mający więcej czasu odwiedzą też zapewne Wiślicę. Miejscowość, słynąca z czasów Księstwa Wiślan, którego wódz został ochrzczony 100 lat wcześniej niż Mieszko, bo ok. 880 r. Ochrzczono go w obręku słowiański. Jest też piękna świątynia i Dom Długosza. Warto też odwiedzić piękną gotycka farę z XIV w. w Stopnicy. Ciekawi przyrodniczych osobliwości, mogą zobaczyć tzw. Kroczącą Sosnę, zwaną Sosną na Szczudłach w Wełczu k/Buska Zdroju. No i zapewne pięknie, nowoczesnie przebudowane Busko Zdrój z tężniami tak nowoczesnymi, że nie powstydzili by się ich europejskie Uzdrowiska

Wracając do sympatycznego bohatera opowieści Makuszyńskiego, warto zaznaczyć jak w okresie PRL „demolowano” historyjki Koziółka Matołka. W wydaniu z 1957 r. zmieniono szereg ilustracji w stosunku do wydań przedwojennych. Już nad polskim niebem nie lata samolot z biało-czerwonymi szachownicami, tylko radziecki Mig. W Warszawie Matołek nie podziwia Kolumny Zygmunta, a Pałac Nauki i Kultury. Znikają świątynie. Matołek nie odwiedza USA a ZSRR. Zresztą jest nadal krytykowany. „To amerykański komiks odrywający polskie dzieci, od problematyki budowy świetlanej, socjalistycznej przyszłości naszej ojczyzny” twierdzą znawcy tematu.

Na koniec wróćmy do Krajoznawczej Odznaki Śladami Koziółka Matoła. Aby ją zdobyć, trzeba zwiedzić cztery miejsca związane z autorem lub bohaterem utworu. Są to m.in.: Otwock – miejsce powstania utworu, Zakopane - grób Kornela Makuszyńskiego i Muzeum autora przygód koziółka i inne ciekawe miejsca. Ponadto trzeba zwiedzić cztery miejsca, w których był Koziółek Matołek, np. min: port w Gdyni, Smoczą Jamę w Krakowie, czy Skocznnię Wielka Krokiew w Zakopanem. Odznaka została ustanowiona przez ZG TTK, a weryfikuje ją Warszawski Oddział PTTK. Szczegółowy regulamin Odznaki zainteresowani znajdą na stronach internetowych PTTK.

Koziółka Matoła warto czytać z dziećmi. Przecież to takie nasze, ojczyście, polskie. Może bardziej ciekawe niż Muminki, opowieści o Czarnoksiężniku z Krainy Oz, francuski Mikołajek czy Harry Potter.

A skoro balowaliśmy na 90. urodzinach Koziółka Matoła, to zapewne, na jeszcze bardziej huczny bal, wybierzemy się do Pacanowa, na 100 lecie w 2033 r.



Europejskie Centrum Bajki w Pacanowie. Fot. centrumbajki.pl

Wycieczki Marii Steczkowskiej – Morskie Oko

Chiałbym przybliżyć czytelnikom opis wrażeń Marii Steczkowskiej z jednej z wycieczek nad Morskie Oko. Na początek słów kilka o samej Steczkowskiej, postaci już mocno zapomnianej, aczkolwiek bardzo znaczącej dla polskiej turystyki.

Maria Konstancya Steczkowska urodziła się 7 września 1832 r., zaś zmarła w 1918 r. w Krakowie. W latach 1854-64, wraz z rodzicami i siostrą, przyjeżdżała letnią porą do Zakopanego, skąd odbywała wiele wycieczek w Tatry z góralskimi przewodnikami. Zwiedzała doliny, ale nie stroniła również od wysokich szczytów. Pokróćce jej osiągnięcia.

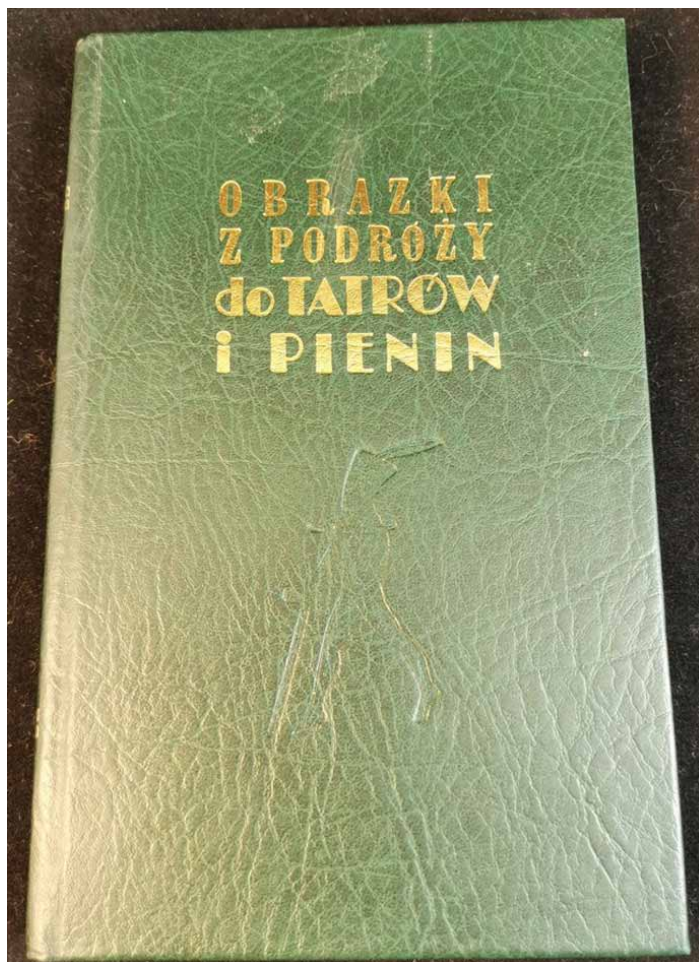
W 1855 r. odbyła wycieczkę nad Morskie Oko i do Doliny Kościeliskiej. W 1857 r. odwiedziła Dolinę Małej Łąki i dotarła na Czerwone Wierchy. Odwiedziła też po raz kolejny Morskie Oko i zawędrowała do Doliny Pięciu Stawów Polskich. W 1858 roku zwiedziła Dolinę Strążyską, Dolinę Gąsienicową i ponownie Morskie Oko. Podjęła się ambitnej trzydniowej wyprawy na Krywań, wędrując dolinami Wierchcichą i Ciemnosmreczyńską, jednakże z racji ciężkich warunków pogodowych nie udało się jej dotrzeć na sam wierzchołek. Latem 1864 r. wspięła się na Wołowiec, zaś z doliny Pańszczycy dotarła na Krzyżne. Odbyła też bardzo długą wyprawę Doliną Białej Wody do Doliny Pięciu Stawów Spiskich. W tym samym roku 1864 zrealizowała wyprawę życia, prowadząc (bez opieki góralskiego przewodnika) trzyosobową grupę znajomych przez Czerwone Wierchy, co jak na owe czasy było brawurowym wyczynem, zważywszy, że nie istniała wtenczas znakowana ścieżka. Wszystkie te osiągnięcia sprawiły, że Maria Steczkowska zapisała się w historii turystyki jako pierwsza polska turystka w Tatrach. Jakkolwiek mówiąc o pradziejach turystyki, należy też wspomnieć o postaci Beaty z Kościeleckich Łaskiej – żony wojewody sieradzkiego i nadzupana spiskiego Olbrachta Łaskiego. W 1565 roku wędrowała ona przez Dolinę Zielonego Stawu Kieżmarskiego w towarzystwie mieszczan. Jednak była to wycieczka jednorazowa i nie może być mowy o regularnej działalności górskiej, jaka miała miejsce w przypadku Marii Steczkowskiej.

Steczowska w roku 1858 r. wydała anonimowo w Krakowie „Obrazki z podróży do Tatrów i Pienin”, w roku 1872 ukazało się wydanie rozszerzone. W roku 1869 na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” pod inicjałami M.S. opublikowała tekst „Wycieczka na Babią Górę” opisujący jej wyprawę z 1855 roku (seria 2, 1869, tom 3, numery 75, 76 i 78).

Chociaż Steczkowska sama nie nazywała swojej książki przewodnikiem, w istocie pełnił on taką rolę, dając, jako pierwszy w historii opis górskich wypraw tatrzańskich oraz kultury Podhala. Warto wspomnieć, że dopiero później ukazały się przewodniki Eugeniusza Janoty, który swój „Przewodnik w wycieczkach na Babią Górę, do Tatr i Pienin” wydał dwa lata po Marii Steczkowskiej (1860) oraz Walerego Eljasza Radzikowskiego, który „Ilustrowany przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnic” opublikował dopiero w 1870 roku. Można więc powiedzieć, że publikacja Steczkowskiej to swego rodzaju pierwszy przewodnik po Tatrach w języku polskim.

Z tego właśnie przewodnika przytoczymy, w oryginalnej pisowni, bardzo ciekawy opis wycieczki nad Morskie Oko. Konkretnie będzie to – chronologicznie rzecz ujmując – druga wyprawa Steczkowskiej nad Morskie Oko. Czytelnicy mogą być zaskoczeni ówczesnym zwyczajem, jakiemu wtenczas hołdowano.

Jest rok 1857. „Górale zowią zwykle Morskie Oko Rybiem Jeziozem, a to dla znajdujących się w nim pstrągów nieco odmiennych od innych, dotąd znanych gatunków. Na obejście jego, które nie ma być tak trudnym, jak się na oko wydaje, potrzeba



dwóch godzin. Każdy, komu znana z opisu wielkość tego jeziora, stanąwszy nad brzegiem jego, dozna zawodu; Morskie Oko wyda mu się wcale niewielkiem. Dopiero rozpatrzywszy się lepiej, pozna, że to tylko złudzenie, którego powodem są olbrzymie granitowe masy piętrzące się dokoła, obok których wszystko maleje, niknie. Jeżeli nie ma sposobności przepłynięcia na tratwie jeziora, co najlepiej prawdziwą jego wielkość poznać daje, można się o niej przekonać i z brzegu, przypatrując się spadkowi potoku wypływającego z Czarnego Stawu (...). Nad brzegiem Morskiego Oka rośnie bujny kosodrzew, zieleni się borówka, wdzięczy alpejski kwiateczek tulący się w trawie, która rozściela się wszędzie, gdzie nie zaległy złomy granitu, świadki okropnych wstrząśnień, które je zerwały z tych potężnych szczytów sterczących tak dumnie dokoła i strąciły na dno obszernej jeziora kotliny. Równinka na wstępie do Morskiego Oka, gdzie stoi szalasa zbudowana umyślnie dla wygody gości, ustrojona także zielonym murawy kobiercem (...). Nie tracąc chwili czasu, weszliśmy zaraz na tratwę przy brzegu stojącą; była już bowiem godzina druga z południa, a chcieliśmy jeszcze zwiedzić Czarny Staw i zdążyć na noc do Zakopanego. Obiad nawet, to jest konewkę mleka, przenieśliśmy na tratwę, aby nie próżnować płynąc, i nasycając oczy niezrównanym widokiem, zaspokajając zarazem głód, który po tylogodzinnej podróży dobrze nam się czuć dawał. Tratwa dopiero właśnie zrobiona dla gości sproszonego do Zakopanego na uroczystość odsłonięcia pomnika arcyksięcia Ludwika, którzy przy tej sposobności zwiedzali Morskie Oko, jest bardzo wygodna; po bokach ma poręczce i ławki do siedzenia. Powierzchnia jeziora zupełnie była spokojna, wiatru prawie żadnego; bez najmniejszej więc obawy puściliśmy się na te ciche tonie. O! Cóż za rozkosz ta żegluga! Cóż za widok niezrównany czaruje duszę! Woda przy brzegach jasno-zielonego koloru, ciemnieje, w miarę, jak się zapuszczamy dalej; na środku, gdzie znaczna głębina, wydaje się zupełnie czarna”.

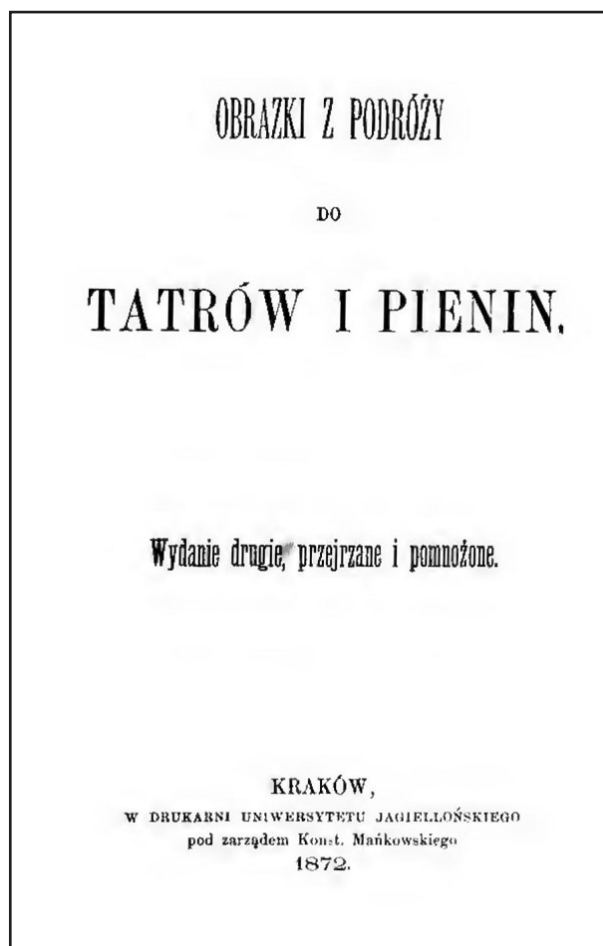
W roku 2023 mija 165 lat od momentu ukazania się pierwszej polskiej publikacji turystycznej poświęconej Tatom. Może któryś z wydawców pokusi się o wydanie nowego reprintu pracy Steczkowskiej, bowiem te, które dotychczas się ukazały, są już trudno dostępne.

Literatura:

Obrazki z podróży do Tatrów i Pienin. Reprint (1858), Kraków: KAW, 1990

Łojek A., *Pionierskie wyczyny Polek na górskich szlakach i skalnych ścianach. Śląskie Prace Geograficzne 5*, Słupsk, 2008

Sebastian Jakobschy



Magazyn turystyczno-krajoznawczy

NA SZLAKU

www.na-szlaku.net

Polub nas na Facebooku!

Góry to nie tylko Tatry

Być może niektórzy Czytelnicy zauważyli, że w numerze kwietniowym nie było PORADNIKA. Może coś stało się autorowi cyklu, spadł gdzieś albo zamarzł. Coś takiego każdemu może się w górach przydarzyć. Nic z tych rzeczy, żyje i pisze, pisze i zanudza truizmami. Tak się złożyło, że poza relacją z marcowego Spotkania Śladowego nie udało się nic więcej napisać. A spotkanie to mogłoby posłużyć za wzór działalności turystycznej w górach. To nie zasługa organizatora tylko uczestników. Nikt z 21 uczestników nie odniósł żadnej kontuzji, nie było większych problemów z orientacją w terenie, choć były chwile zwątpienia z powodu „skromnego” znakowania jednego ze szlaków w dość trudnym terenie. Prawda, że narciarzom sprzyjała pogoda, nie musieliśmy zmagać się z padającym śniegiem i silnym wiatrem, czego doświadczyło niemało turystów także w Beskidzie Sądeckim.

Minionej zimy miały miejsce wypadki charakterystyczne dla gór wysokich, jakimi są Tatry, a wydarzyły się w nieco niższych. Jeden z nich zdarzył się w Karkonoszach na Śnieżce. Turystka z Czech „poleciała” kilkaset metrów stromym północnym zboczem w miejscu nazwanym w mediach „rynną śmierci”. Karkonoscy ratownicy opisali to tak: *Po dotarciu do na miejsce wypadku, ratownicy zastali poszkodowaną obywatelkę Czech, która po 400 metrowym osunięciu się północnymi zboczami śnieżki doznała urazów wielonarządowych zagrażających życiu* (źródło: Facebook Grupy Karkonoskiej GOPR). Miała też miejsce duża lawina wyzwolona przez narciarza. Zeszła w Białym Jarze znanym z tragicznego wypadku lawinowego 20 marca 1968 roku. Zginęło wtedy 19 osób. Kolejna lawina zeszła w roku 1974, następna w lutym 2005 roku w kotle Małego Stawu, w której zginęli trenujący goprowcy, a w lawinie w 2008 zginął snowboardzista. Tym razem na szczęście nie było ofiar. Choć w Tatrach każdej zimy lawin nie brakuje i wiadomości o nich pojawiają się dość często, to i w Karkonoszach też bywają. Bywają także w Bieszczadach, na Babiej Górze, osuwiska śnieżne możliwe są na Pilsku i na Śnieżniku. Powyższe informacje zamieszczam dla przypomnienia, żeby nie lekceważyć żadnych gór. Śniegiem można „oberwać po głowie” niekoniecznie na stromym tatrzańskim zboczu. Po obfitych opadach parę ton śniegu może spaść choćby ze skał, obok których biegnie np. Ścieżka nad Regłami w Tatrach. Wracając do Karkonoszy. Jak czytamy na Facebooku GK GOPR: *Najczęstsze problemy, z którymi spotkali się nasi ratownicy to zabłądzenia, złe przygotowanie czy wychłodzenie (...) oraz urazy kończyn doznawane najczęściej w wyniku upadków*. Jak widać modne „raczki” nie zawsze dają radę.

O Beskidzie Sądeckim pisałem poprzednio, a co słyszeć w Żywieckim? W skrócie ratownicy opisują to tak: *6 tygodni ferii zimowych to co roku czas wzmożonej pracy dla ratowników GOPR. W okresie od 14 stycznia do 26 lutego 2023 Ratownicy Grupy Beskidzkiej GOPR 93 razy wyruszyli w góry, udzielając pomocy 119 osobom. (...) Ponad połowa akcji w tym czasie to poszukiwania osób, które straciły orientację w terenie i zabłądziły oraz dalsze działania mające na celu sprowadzenie ich do miejsc bezpiecznych (...) lub gdy ich stan zdrowia tego wymagał - przekazanie Zespołom Ratownictwa Medycznego lub LPR. 746 razy interweniowali na stokach*



Lawinisko w Białym Jarze (GK GOPR)

narciarskich (!). Nietypowe dość zdarzenie miało miejsce w rejonie Pilska, gdzie w rejonie Hali Cebulowej zaginął snowboardzista. Niby nic szczególnego, nie pierwszy on i nie ostatni, więc dlaczego o tym piszę? Ponieważ ów snowboardzista to **11 letni chłopiec**. Tak czytamy na stronie GB GOPR: **O godz. 15:10 do ratowników z SR Hala Miziowa dotarło zgłoszenie o zaginięciu 11-letniego snowboardzisty w rej. Hali Cebulowej. Z dyżurki na pomoc wyruszyli ratownicy dyżurni na skuterach i nartach skiturowych. O godz. 15:55 w ciężkich warunkach (zaspy, zawiany szlak, ograniczona widoczność, opad śniegu i wiatr) dotarli do chłopaka, którego zaopatrzyli w rakiety śnieżne. Poszkodowany odnaleziony w ogólnym stanie dobrym, został ewakuowany do dyżurki na Hali Miziowej i przekazany pod opiekę rodzica.** Można by zapytać, co robił jedenastolatek sam na trudnym orientacyjnie terenie w trudnych warunkach pogodowych? Nie komentuję – pytam.



Miejsce wypadku na Śnieżce (GK GOPR)

Tymczasem na Babiej Górze co kilka dni, osobliwie w weekendy co i rusz ratownicy wyruszali „na łowy”, by z mgły, śnieżycy i zawieruchy wyławiać zaplątanych turystów. To jednak zwykle, typowe babiogórskie przygody. Rzadziej dochodzi tam do takich historii, jak wspomniana wyżej przygoda na Śnieżce. We mgle i zawierusze można zrobić parę kroków w złą stronę i polecieć w dół. Na „fejsie” GB GOPR czytamy: **W godzinach popołudniowych ratownicy otrzymali zgłoszenie z kopuły szczytowej Babiej Góry: jeden z trzech uczestników wycieczki, którzy stracili orientację, schodząc ze szczytu, w wyniku poślizgnięcia zsunął się ok. 100 m na północnym zboczu i nie był w stanie samodzielnie ani z pomocą kolegów wydostać się na szlak.**

Tylko w jeden weekend bardzo trudne warunki w Beskidzie Śląskim i Żywieckim sprawiły, że pomocy potrzebowało aż 19 osób. Ratownicy Grupy Beskidzkiej GOPR przeprowadzili w ciągu dwóch dni 6 wypraw i 4 akcje ratunkowe w rejonie Babiej Góry, Pilska i Hali Miziowej, Magurki Radziechowskiej, Przegibka Żywieckiego, Klimczoka, Gibasów Gronia oraz Młodej Hory. Minął tydzień i ratownicy Grupy Beskidzkiej GOPR w kolejną sobotę i niedzielę interweniowali 8 razy. Na pomoc 10 osobom poszkodowanym wyruszyli w rej. Babiej Góry (4x), Pilska (2x), Czantorii i Malinowskiej Skały. Niestety życia jednej poszkodowanej nie udało się uratować. Mimo natychmiastowej pomocy innych turystów i ratowników nie przywrócono akcji serca. Ilość interwencji górskich ratowników rośnie w zaskakującym tempie. Pewnie jest proporcjonalna do wielkości ruchu turystycznego, ale czy tylko? Co z tego, że turyści najczęściej są dobrze wyposażeni, choć nie brakuje też osób kompletnie nieprzygotowanych do przebywania powyżej „grani Krupówek”. Czy za wyposażeniem idzie wiedza, doświadczenie, odpowiednie umiejętności? Obawiam się, że nie zawsze. Wiele osób porywa się zimą np. na Babią Górę, będąc w ogóle w górach pierwszy raz. To samo jest ze Śnieżką, Pilskiem czy pozornie łatwą granią od Kasprowego do Kopy Kondrackiej. Właśnie na tym odcinku głównej grani Tatr było minionej zimy kilka poważnych akcji ratunkowych. Jest to bardzo popularny szlak, trasa wielu ludzi wyjeżdżających kolejką na Kasprowy. Latem to łatwa ścieżka, choć wytrasowana miejscami w stromym zboczu, zimą zaś wymagająca umiejętności poruszania się wąskim, często zalodzonym trawersem. Łatwy dostęp do niektórych wysokich partii gór przekłada się na dużą ilość osób wchodzących w te partie. Często kończy się to wzywaniem pomocy. Właśnie doświadczenia i umiejętności brakowało najczęściej uczestnikom niepotrzebnych przygód. Tego samego brakowało wielu turystom także w innych górach. Przeceniamy swoje możliwości, nie doceniamy trudności powodowanych przez wiatr, tracimy rezon w zademce i mgle. To tyle o minionej zimie w górach, wycinkowo, ale z wyszczególnieniem charakterystycznych wypadków. Czy za rok coś się zmieni? Oby.

Juliusz Wystouch

55 lat od zejścia lawiny w Białym Jarze

55 lat temu w marcu 1968 roku miała miejsce największa tragedia w polskich górach. Lawina, która zesła w Białym Jarze w Karkonoszach, pochłonęła 19 istnień ludzkich.

Ponieważ przy okazji tzw. okrągłych rocznic wracamy do tego tragicznego wydarzenia, chciałbym przedstawić działania podjęte przez Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze w ostatnich latach. W ramach Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze działa Regionalna Pracownia Krajoznawcza Karkonoszy powołana wspólnie ze Związkiem Gmin Karkonoskich. Pracownia ta kierowana przeze mnie zorganizowała spotkanie poświęcone przypomnieniu tego, co działo się po zejściu lawiny w roku 1968. Spotkanie odbyło się w siedzibie Związku Gmin Karkonoskich w Bukowcu. Zaprosiłem na nie osoby biorące udział w akcji ratunkowej, ale nie tylko. Dzięki temu spotkaniu powstały wspomnienia, które wraz z innymi materiałami wykorzystałem do złożenia redagowanego przeze mnie Zeszytu Historycznego nr 1(17)/2018.

Zeszyty Historyczne to cykl wydawniczy stworzony na potrzeby zachowania w pamięci zdarzeń krajoznawczych i relacji z różnych działań turystycznych. Do tej pory ukazało się 29 numerów. Wspomnę tylko, że zostały one wyróżnione w Jubileuszowym XXV Ogólnopolskim Przeglądzie Książki Krajoznawczej i Turystycznej w Poznaniu II nagrodą oraz w 7. Międzynarodowym Konkursie „Najlepsza książka o górach” w Krakowie I nagrodą.

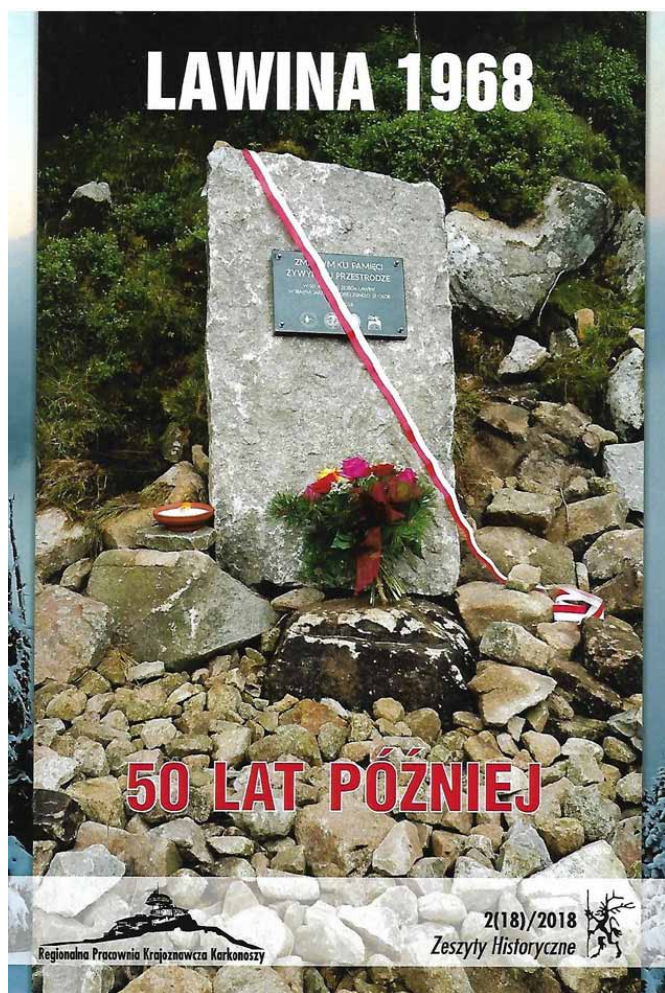
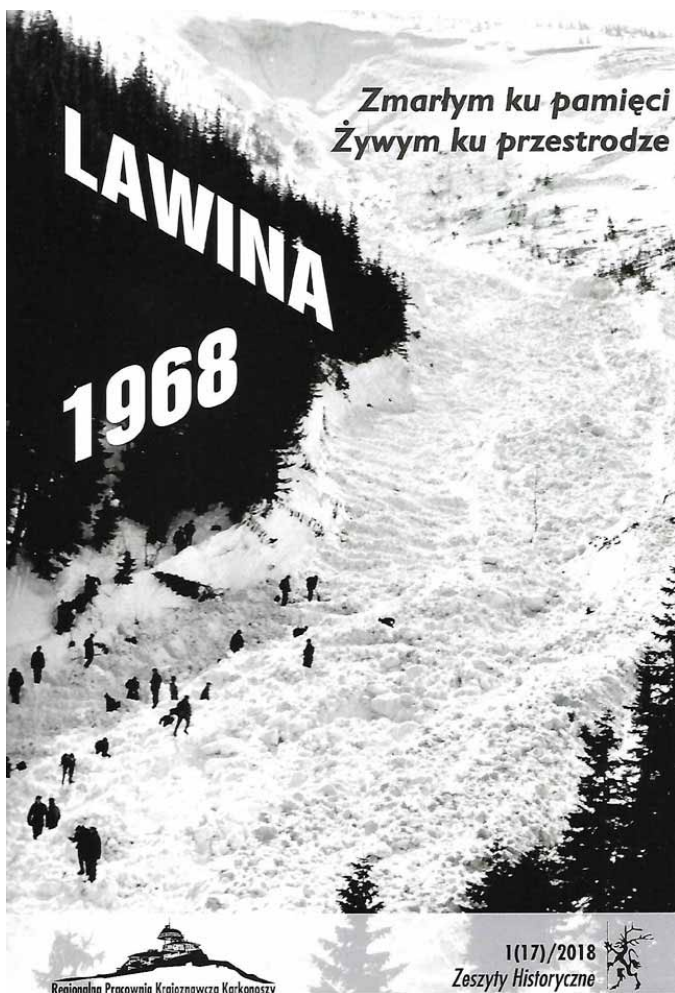
We wspomnianym numerze Zeszytów Historycznych zostały zamieszczone relacje osób biorących bezpośredni udział w akcji ratunkowej w 1968 roku, ich wspomnienia, a także opracowanie naukowe odnośnie Białego Jaru jako najbardziej niebezpiecznego miejsca w polskich Karkonoszach. Wśród autorów poszczególnych artykułów są: Marian Sajnog, Andrzej Brzeziński, Stanisław Jawor, Bogdan Skrzypczyński, Marian Bielecki, Ryszard Jaśko, Jacek Jaśko. Jest też relacja Wojciecha Skowrońskiego, który przeżył lawinę z 17 marca 1968 roku, a więc chwilę przed omawianą tragedią. W zeszycie zawarłem także do tej pory chyba nigdzie nie publikowany wpis z pamiętnika Domu Wypoczynkowego „Leśny zamek” w Bierutowicach, w którym to swoją relację z tego co zobaczyły, zdały przebywające tam kuracjuszeki. Oczywiście w zeszycie zamieszczonych zostało wiele zdjęć, zarówno archiwalnych jak i pozyskanych od autorów, zamieszczono także relacje z różnych czasopism z tamtego okresu.

Ale to nie koniec naszych działań w tym temacie. Otóż jak państwo wiecie, w ramach upamiętnienia ofiar tej tragedii postawiono w Białym Jarze pomnik. Najpierw nietrwały drewniany, później wykonany z granitowych bloków o łącznej wadze blisko 40 ton. Jak się okazało, wydawałoby się niezniszczalny pomnik, został zmieciony przez lawinę w 1974 roku. Dodam tylko, że na tablicy z pierwszego pomnika umieszczono napis: „Pamięci 19 osób, ofiar lawiny w dniu 20 III 1968”. Na tablicy z drugiego pomnika umieszczono napis: „Tragiczną śmierć w zwałach śnieżnej lawiny poniosło w tym miejscu 20 marca 1968 roku 19 nieodżałowanych entuzjastów gór i przyrody. Cześć ich pamięci”

Wydawałoby się, że wraz ze zniszczeniem pomnika skończyła się pamięć o tych, którzy stracili tam życie. Na szczęście tak nie jest. Otóż przez wiele lat próbowano postawić nowy obelisk. Niestety wszystkie próby kończyły się niepowodzeniem. W końcu coś drgnęło. 13 lutego 2017 roku w siedzibie Związku Gmin Karkonoskich w Bukowcu odbyło się spotkanie, podczas którego powołano „Komitet obchodów 110 rocznicy zorganizowanego ratownictwa w Karkonoszach”. W spotkaniu tym uczestniczyli: Mirosław Górecki (prezes GK GOPR), Sławomir Czubak (naczelnik GK GOPR), Radosław Jęcek (burmistrz Karpacza), Witold Szczudłowski (dyrektor biura ZGK), Krzysztof Tęcza (kierownik RPK Karkonosze, a także wiceprezes ZO PTTK „Sudety Zachodnie” oraz dziennikarz Piotr Słowiński. W rozmowie, korzystając z połączenia telefonicznego, uczestniczył Andrzej Raj (dyrektor KPN).

Podczas tego spotkania z inspiracji RPK powstała myśl, by przypomnieć o tragedii roku 1968 i ponownie uczcić pamięć tych, którym nie dane było wrócić bezpiecznie do domu. Postanowiono podjąć działania zmierzające do zbudowania nowego pomnika. Muszę tutaj powiedzieć, że prace te powiodły się przede wszystkim dzięki postawie dyrektora ZGK Witolda Szczudłowskiego.

Prace przy budowie nowego pomnika rozpoczęto 26 lipca 2018 roku. Dzięki sponsorowi, Firmie Dobrowolski, która użyczyła odpowiedniego sprzętu wraz z operatorem (koparki kroczonej) udało się wydobyć jeden z granitowych bloków pomnika zniszczonego w 1974 roku. Nie było łatwo, ale udało się. Głaz został ułożony na zboczu i zablokowany tak, by żadna lawina nie mogła go porwać. Dodam, że w pracach uczestniczyli: Witold Szczudłowski, Mirosław Górecki, Krzysztof Tęcza i operator koparki Grzegorz Kulikowski. Ale to nie



koniec prac. 9 sierpnia 2018 roku wróciliśmy do Białego Jaru, by zamontować przygotowaną wcześniej nową tablicę, którą przyniosłem w plecaku. Tym razem oprócz mnie w pracach uczestniczył jeszcze Mirek Górecki.

Oficjalne odsłonięcie tablicy miało miejsce 10 sierpnia 2018 roku podczas obchodów Dnia Ludzi Gór. Po uroczystościach na Śnieżce zeszliśmy do Białego Jaru, gdzie po odmówieniu przez kapelana GK GOPR księdza Michała Gołębia krótkiej modlitwy poświęcenia pomnika dokonał biskup Stefan Cichy. Zaszczycu odsłonięcia pomnika dostąpił Marian Sajnog. Towarzyszyli mu koledzy ratownicy, którzy brali udział w akcji ratunkowej mającej miejsce 50 lat temu.

Dodam tylko, że na nowej tablicy ufundowanej z wpływów na konto Fundacji GOPR umieszczono następujący napis: „Zmarłym ku pamięci, żywym ku przestrodze. W 50. rocznicę zejścia lawiny w Białym Jarze, w której zginęło 19 osób. 1968-2018”. Na tablicy zamieszczono logo Związku Gmin Karkonoskich, Karkonoskiego Parku Narodowego, Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego i Oddziału PTTK „Sude ty Zachodnie” w Jeleniej Górze.

Aby przypomnieć wydarzenia sprzed pół wieku i aby nasze działania nie zatarły się w pamięci, zorganizowałem 24 marca 2018 roku w Bukowcu Seminarium krajoznawcze „Lawina 1968 – 50 lat później”, w trakcie którego zostały zaprezentowane materiały przygotowane m.in. przez Andrzeja Brzezińskiego. Zostało wówczas zorganizowane spotkanie z uczestnikami akcji ratunkowej z 1968 roku. Temu wyjątkowemu wydarzeniu towarzyszyła wystawa fotograficzna „Lawina 1968” oraz wystawa sprzętu ratunkowego. Przyznam, że zainteresowanie tym spotkaniem przerosło nasze oczekiwania. Przybyło ponad 200 osób.

Dodam, że udało mi się namierzyć kolejnych uczestników akcji ratowniczej i przeprowadzić z nimi wywiady, które zamieściłem w Zeszyty Historycznym nr 2(18)/2018, który wydaliśmy po spotkaniu. W zeszyty tym zamieściliśmy opisy prac związanych z postawieniem nowego pomnika w Białym Jarze, a także zdjęcia tablic z kolejnych pomników.

Wydawcą Zeszytów Historycznych jest Związek Gmin Karkonoskich, a ponieważ nakład w ilości 500 egzemplarzy został wyczerpany, ich zawartość jest dostępna w Jeleniogórskiej Bibliotece Cyfrowej.

Krzysztof Tęcza

Otwarcie nowej stacji GOPR

11 lutego 2023 roku miało miejsce uroczyste otwarcie nowej stacji GOPR w Karpaczu. Nowy obiekt znacznie poprawi warunki, jakimi dysponowali ratownicy w ciasnej baczowce zlokalizowanej tuż przy wyciągu na Kopę. Warunki stworzone w oddanym do użytku budynku zapewniają spełnienie norm obowiązujących w dzisiejszych czasach. Ratownicy otrzymali nie tylko schronienie, miejsce do przechowywania potrzebnego w akcjach sprzętu, ale także możliwość przeprowadzania szkoleń, spotkań, wykładów. Przede wszystkim otrzymali nowoczesne środki do koordynowania działań grup ratunkowych oraz bazę, w której dzięki umieszczeniu w niej stacji pogotowia ratunkowego poszkodowani sprawnie i szybko będą zaopatrywani w potrzebną pomoc doraźną.

Podczas uroczystości otwarcia nowej stacji prezes Grupy Karkonoskiej GOPR Mirosław Górecki podziękował wszystkim darczyńcom za okazaną pomoc finansową. Niestety ze względu na inflację koszty budowy znacznie wzrosły i bez dodatkowych funduszy ukończenie tej niezwykle potrzebnej placówki nie byłoby możliwe. Wystarczy wspomnieć, że całkowity koszt realizacji inwestycji zamknął się kwotą 6 mln zł wobec zakładanych niespełna 3 mln. Prezes przypomniał, że rok 2022 został ogłoszony przez



Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego Rokiem Ratownictwa Górskiego w Sudetach. Powitał wszystkich przybyłych, w szczególności przedstawiciela premiera panią minister Marzenę Machałek; posłanki: Zofię Czernow, Ewę Szymańską, Małgorzatę Sekułę-Szmajdzińską; posła Roberta Obaza, senatora Krzysztofa Mroza, marszałka województwa dolnośląskiego Cezarego Przybylskiego, wiceprzewodniczącego sejmiku dolnośląskiego Jerzego Pokoja, prezydenta Jeleniej Góry Jerzego Łuźnianka, starostę karkonoskiego Krzysztofa Wiśniewskiego, dyrektora KPN Andrzeja Raja, burmistrza Karpacza Radosława Jęcka. Ciepłe przywitania otrzymali Członkowie Honorowi Grupy Karkonoskiej oraz przedstawiciele innych grup i władz naczelnych GOPR.

Prezes Mirosław Górecki podziękował za wsparcie inwestycji dyrektorowi Karkonoskiego Parku Narodowego, marszałkowi województwa dolnośląskiego, prezesowi Rady Ministrów RP. To przede wszystkim dzięki dużym środkom finansowym przekazanych przez te instytucje udało się dokończyć budowę. Aby uhonorować darczyńców, zamontowano na ścianie stacji tablicę pamiątkową oraz przekazano im drobne podarunki. Obdarowani zrewanżowali się stosownymi adresami. Pani minister Marzena Machałek przeczytała list od premiera Mateusza Morawieckiego. Słowa uznania dla ratowników przekazał marszałek Cezary Przybylski. Pani poseł Ewa Szymańska dołączyła się do gratulacji w imieniu zespołu parlamentarnego mającego na celu wspieranie ratownictwa górskiego. Szczególne słowa usłyszeli ratownicy od Jerzego Pokoja, również ratownika i w przeszłości naczelnika grupy. Odniósł się on do piękna otaczających nas gór, do ich turystycznego wykorzystywania, ale także do niebezpieczeństw czyhających w nich. I to właśnie ratownicy górscy mają



strzec turystów, nieść im w razie potrzeby pomoc. Ratownicy noszący na piersi błękitny krzyż, godnie go reprezentując, często narażają swoje życie w imię wyższych wartości. Jerzy Pokój podziękował przede wszystkim burmistrzowi i Radzie Miasta Karpacz za decyzję o przekazaniu działki pod budowę stacji, co dało zarys do realizacji tego projektu. Podziękował także prezesowi Mirosławowi Góreckiemu i naczelnikowi Sławomirowi Czubałkowi za ich determinację, że mimo tylu przeciwności doprowadzili do szczęśliwego końca

rozpoczętą inwestycję. Burmistrz Karpacza w imieniu swoim jak i Rady Miasta przekazał skromny, ale bardzo użyteczny upominek.

Na zakończenie uroczystości prezes oprowadził po obiekcie, pokazując poszczególne pomieszczenia i wyjaśniając ich przeznaczenie. Obiekt jest na tyle duży, że oprócz magazynów na sprzęt, garażu, pomieszczeń socjalnych, pokoi wypoczynkowych pomieścił także sporą salę wykładową. Część budynku przeznaczono na stację pogotowia ratunkowego. Na parterze znajduje się



centrum dowodzenia, czyli nowoczesnie wyposażona dyżurka, z której dyżurny ratownik może kontrolować każdą akcję, jaka właśnie ma miejsce. Dodam tylko, że podczas uroczystości większość ratowników zarówno Grupy Karkonoskiej jak i czeskiej Horské služby wyruszyła w góry, gdyż było podejrzenie, iż lawina, która właśnie zesłała, mogła porwać turystów. Na szczęście po kilkugodzinnej akcji poszukiwawczej okazało się, że tym razem nie było ofiar.

Krzysztof Tęcza



Ostaś w czeskich Górach Stołowych

Tym razem proponuję wycieczkę co prawda górską, ale bardzo widowiskową, a do tego niemęczącą. Jedy-
nym problemem może być dotarcie do punktu wyjścia. Dlatego najlepiej wyruszyć samochodem, który bez problemu będziemy mogli zaparkować na samoobsługowym parkingu płatnym (50 koron) w miejscowości Ostaś. Po drodze minimy Police nad Metují, gdzie warto stanąć na chwilę, by przejść się po bardzo ciekawym rynku.

Po zostawieniu samochodu czeka nas przyjemny spacer szlakiem niebieskim, którym przejdziemy koło miejscowej gospody. Możemy tutaj zamówić coś smacznego i zjeść spokojnie, szykując się na czekające nas atrakcje. Ponieważ teren, który nas interesuje, nie jest zbyt rozległy, warto przejść się wszystkimi udostępnionymi trasami. Mamy tutaj Dolny oraz Górny Labirynt.

Na początek udamy się, tak jak wspominałem, szlakiem koloru niebieskiego do Górnego Labiryntu. Dzięki temu bez problemów dotrzemy na szczyt mający 692 metry n.p.m. Muszę przyznać, że co chwilę będą nas zaskakiwać ciekawe skały, ale najlepsze będzie na szczycie, na którym możemy zrobić sobie krótki odpoczynek, podziwiając rozległe widoki. Dopiero wtedy ruszymy w dalszą drogę tak, by zamknąć pętlę. Po drodze naocznie sprawdzimy, dlaczego mijane skały nazwano Mogiłą Śmierci czy Czartowe Auto.

Gdy wreszcie zamkniemy pętlę i przejdziemy do miejsca, gdzie pojawi się szlak zielony, udamy się za jego znakami, by dojść do Kociego Zamku. Nie będzie to jednak takie proste. Labirynt skalny jest tak ułożony, że często wydaje nam się, iż to już koniec, że nie przejdziemy dalej. Jednak gdy podejdziemy bliżej, okazuje się, że znajduje się tam wcześniej niewidoczne przejście. Co prawda z reguły jest ono bardzo wąskie i trzeba wykazać się dużą dawką odwagi, by przejść przez nie. Nie pomagają nam w tym nawet ułatwienia w postaci drabin czy schodów. No może troszeczkę. Trzeba jednak być bardzo uważnym, by nie doszło do jakiegoś wypadku.

Jeśli nie będziemy mieli dosyć wrażeń, warto zboczyć na ścieżkę doprowadzającą nas do Jaskini Braci Czeskich. Jest to miejsce, w którym prześladowani ze względów religijnych modlili się w osamotnieniu i z nadzieją, że nikt ich tutaj nie wypatrzy.

Po zaspokojeniu naszej ciekawości możemy powrócić na parking, na którym pozostawiliśmy nasz samochód.

Krzysztof Tęcza

Suła Dolna

Dolnosulski Przyrodniczy Park Narodowy został powołany przez prezydenta Ukrainy w 2010 r. Objął tereny o powierzchni 186,4 km² (w tym tylko 21,9 km² ziem własnych parku) nad rzeką Sułą w pobliżu jej ujścia do Dniepru, a właściwie do Kremenczuckiego Zbiornika Wodnego. Połączył nizinne tereny między Łubnami i Hłobyńem w obwodzie połtawskim oraz Zołotonoszą w obwodzie czerkaskim, gdzie już wcześniej istniało 5 rezerwatów hydrologicznych, 2 rezerваты krajobrazowe i 1 rezerwat entomologiczny.

Suła – to słowo pochodzenia tatarskiego, oznaczające rybę sandacza, co świadczy o głównym bogactwie tych ziem w dawnych czasach. Natomiast po azersku słowo oznacza „dużo wody”.

Suła – to wolno płynąca (0,6 km/h) rzeka o długości 363 km, mająca źródła w pobliżu miasta Sumy. Dolina Suły, leżąca ponad 100 m n.p.m., w dolnym biegu ma nawet do 11 km szerokości. Prawy brzeg rzeki jest wysoki, stromy, gliniasty, lewy zaś niski, z zalewowymi łąkami i torfowiskami. Woda w rzece jest czysta, zimniejsza o 3°C od wody innych rzek z powodu dużej ilości podziemnych źródeł w jej korycie. Zimą tworzy lód, wiosną rozlewa się szeroko w swojej dolinie.



Dolnosulski PPN, nad Sułą

Po napełnieniu zbiornika wodnego (1961) z zaporą w Krzemieńczuku Suła rozlała się, tworząc ogromny zalew (300 km²) z wieloma wyspami i zatokami. Wkrótce nowe brzegi rzeki i wyspy obrosły zaroślami trzciny i pałki. W sosnowych i dębowych lasach zachowały się miejsca grzybowe i polany z dywanami jagód. Wyspy stały się miejscami pobytu wielu ptaków z 200 gatunków; jedne zatrzymują się na krótko, inne tu gniazdują. Można spotkać na wyspach kormorany wielkie, żurawie szare, sępy, czaple białe, liczne kaczki. W rzece żyją szczupak, sandacz, karaś, jazgarz, leszcz, okoń, płoć, jaź, sum, lin; naliczono 27 gatunków ryb. Na brzegu bytują bóbr, nutria, rak, wąż.

Dniepr i Suła stanowiły kiedyś w tym miejscu naturalną granicę terytorium słowiańskiego. Kozacy powstrzymywali tu najazdy koczowników z południa. Na terenie parku na brzegu rzeki prowadzono wykopaliska z epoki scytyjskiej.

Przez park wytyczono szlaki turystyczne, zapoznające młodzież z historią tych ziem i ich przyrodą.

Janusz Fuksa

Konkurs „Poznajemy Ojcowiznę” 2023

Na początku lat 90-tych XX wieku Rada Programowa do Spraw Młodzieży Szkolnej Zarządu Głównego PTTK podjęła decyzję o organizacji Ogólnopolskiego Młodzieżowego Konkursu Krajoznawczego „Poznajemy Ojcowiznę”. Głównym celem konkursu jest zachęcanie młodych ludzi do poznawania ziemi ojczystej. Chodzi o to, by młodzież zaczęła dostrzegać piękno otaczającego nas krajobrazu. By patrząc na obiekty mijane codziennie w drodze do szkoły czy podczas spacerów i wycieczek, odnajdywali ukrytą w tych obiektach historię. By starali się dotrzeć do wiadomości o autorach danych obiektów, o tym, dlaczego je wzniesiono czy komu służyły. W terenie znajduje się wiele budowli zabytkowych, ale o wiele więcej jest małych obiektów upamiętniających wydarzenia historyczne czy jakieś zdarzenia mające miejsce wiele lat temu. Ale to nie wszystko. W każdym regionie mają miejsca wydarzenia np. kulturalne organizowane od wielu lat. Warto upamiętnić historie ich powstania, organizacji czy uczestniczących w nich osób. Innym tematem jest historia rodziny. Młodzi ludzie podczas spisywania opowiadań rodziców czy dziadków nie tylko dowiadują się o tym, skąd pochodzą, ale poznają wiele ciekawych, często zaskakujących faktów z życia swoich przodków.



Zgromadzone materiały są opracowywane w różnych technikach. Tutaj nie ma narzuconych sposobów prezentacji. To autor decyduje, czy chce wyniki swojej pracy przedstawić w tradycyjnej papierowej formie czy jako prace multimedialne. Najważniejszym jest, by młody człowiek przygotował swoją prezentację w miarę samodzielnie. Oczywiście opiekę nad pracą powinien prowadzić opiekun, w tym wypadku nauczyciel. Jest to bowiem dobry temat na zajęcia z edukacji regionalnej.

Jeśli chodzi o proponowane tematy prac to regulamin konkursu określił 8 głównych tematów. Są to:

1. Mój dom rodzinny, moja miejscowość, jej położenie, krajobraz i stan środowiska.
2. Dzieje mojej rodziny, tradycje i zwyczaje.
3. Historia mojej ojcowizny, obiekty zabytkowe.
4. Ludzie mojej miejscowości zasłużeni dla regionu i kraju.
5. Moje najciekawsze ścieżki krajoznawczo-turystyczne.
6. Nasza szkoła, historia i tradycje.
7. Moja ojcowizna – jej miejsce w Polsce i Europie.
8. Losy moich bliskich i rodaków poza granicami kraju.

Przygotowane prace po zgłoszeniu do konkursu podlegają ocenie komisji powoływanych przez PTTK w regionie. Najciekawsze prace trafiają do konkursu wojewódzkiego, a nagrodzone są przekazywane do Warszawy do etapu centralnego. Jeśli chodzi o teren Dolnego Śląska, to od kilku lat etap wojewódzki konkursu organizowany jest przez Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze.

W 2023 roku do konkursu wpłynęło 17 prac wykonanych przez 21 autorów, którymi opiekowało się 8 opiekunów w 7 szkołach. Komisja w składzie: Krzysztof Tęcza, Andrzej Mateusiak i Janusz Turakiewicz, po zapoznaniu się z pracami, wybrała spełniające kryteria oraz przydzieliła kolejne miejsca.

Wyniki Eliminacji Dolnośląskich Ogólnopolskiego Młodzieżowego Konkursu Krajoznawczego „Poznajemy Ojcowiznę” 2023

Szkoły podstawowe – kategoria indywidualna

1. Zuzanna Wolanin – Wielkanoc na Łużycach, SP nr 1 Świeradów Zdrój, opiekun: Teresa Fierkowicz.
2. Zofia Salawa – Tradycje wielkanocne w mojej rodzinie, SP nr 1 Świeradów Zdrój, opiekun: Teresa Fierkowicz.
3. Natalia Michalska – Moje najciekawsze ścieżki krajoznawczo-turystyczne: Dolina Bobru, SP nr 11 w Jeleniej Górze, opiekun: Małgorzata Żuchowska.
 - 1-7. – Zofia Rudnicka – Moje najciekawsze ścieżki krajoznawczo-turystyczne: Sudecka Zagroda Edukacyjna, Szkoła Podstawowa nr 11 w Jeleniej Górze, opiekun: Małgorzata Żuchowska.
 - Łucja Zawadzka – Stracona Ojcowizna – wywiad z babcią, Szkoła Podstawowa nr 11 w Jeleniej Górze, opiekun: Małgorzata Żuchowska.
 - Lena Żłobińska, Anna Maciejewska – Odra – wspólna rzeka Polaków, Czechów i Niemców, Szkoła Podstawowa nr 37 we Wrocławiu, opiekun: Robert Tomczyk.
 - Aleksandra Marciniuk – Zamek Książ i jego podziemia. Ścieżka Hochbergów. Stary Książ, Szkoła Podstawowa nr 20 im. Orła Białego we Wrocławiu, opiekun: Dominik Golec

Szkoły podstawowe – prace multimedialne

1. Małgorzata Drewnicka – Moje trasy w Polsce i Czechach, SP nr 11 Jelenia Góra, opiekun: Małgorzata Żuchowska.
2. Tymon Grzywaczewski – Historia mojej ojcowizny – Chełmsko Śląskie, SP nr 4 Wrocław, opiekun: Aleksandra Kryzar.
3. Martyna Malec, Karolina Tomczyk – Pałac Łomnica, SP z Oddziałami integracyjnymi w Łomnicy, opiekun: Patrycja Skórzecka.
 - 1-8. – Paulina Flisz – Dolny Śląsk – najciekawsze miejsca przyrodniczo-turystyczne, Publiczna Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi w Wałbrzychu, opiekun: Renata Staniec.
 - Aleksandra Zielińska, Franciszek Zdrał, Zuzanna Świesiulska, Antonina Makowska – Zabytki sakralne Gminy Międzyzlesie, Zespół Szkolno-Przedszkolny im. Przyjaciół Dzieci w Domaszkowie, opiekun: Bożena Gałusza.
 - Adrian Tomczyk – Moja Mała Ojczyzna – Gmina Mysłakowice, SP z Oddziałami Integracyjnymi w Łomnicy, opiekun: Patrycja Skórzecka.
 - Martyna Buława – Podróże po mojej Małej Ojczyźnie – Karpniki, Szkoła Podstawowa z Oddziałami Integracyjnymi w Łomnica, opiekun: Patrycja Skórzecka.
 - Hanna Sosnowska – Tadeusz Steć – pionier turystyki w Sudetach, Szkoła Podstawowa nr 11 w Jeleniej Górze, opiekun: Małgorzata Żuchowska.

Szkoły ponadpodstawowe – kategoria indywidualna

1. Amelia Maj – Moje spotkanie z Dobrą Panią, XIV Liceum Ogólnokształcące im. Polonii Belgijskiej we Wrocławiu, opiekun: Agnieszka Maj.

Zwycięskie prace z miejsc pierwszych zostały przesłane do finału do ZG PTTK w Warszawie, gdzie będą oceniane na etapie ogólnokrajowym. Dodam tylko, że w latach poprzednich wiele prac dolnośląskich zajmowało czołowe miejsca w konkursie centralnym, czego serdecznie życzymy naszym młodym autorom.

Krzysztof Tęcza



66. Ogólnopolski Rajd Narciarski Karkonosze 2023

Przeciętny turysta to piechur. Chodzi on po znakowanych szlakach samodzielnie lub w grupach. W naszym terenie, ze względu na otaczające Jelenią Górę pasma górskie, trudno jest uprawiać typową turystykę pieszą. Wszędzie jest pod górkę. Jest więc problem. Aby temu sprostać, trzeba mieć w miarę dobrą kondycję. Prawdziwy problem zaczyna się w okresie zimowym, kiedy wszystko przykrywa biały puch. Wtedy nie wystarczą same chęci. Trzeba wykazać się zarówno kondycją jak i być wyposażonym w odpowiedni ubiór i sprzęt.

Dawno temu ludzie mieli różne, nieraz dziwne, pomysły na to, jak przemieszczać się w terenie górskim w okresie zimy. Pierwsze takie pomysły dotyczyły sprzętu dla pracujących w górach. Właściciele terenów położonych w Karkonoszach i Górach Izerskich ściągali dla swoich pracowników każdą nowinkę, jaką wypatrzyli. Najpierw pojawiły się skórzane ciepłe buty, które miały nietypowe podeszwy. Były one prostokątne i sporo wystawały poza obrys stopy. Chodziło o to, by ciężar ich użytkownika został rozłożony na jak największej powierzchni. Pierwsze takie obuwie nosili dostawcy przesyłek. Później pojawiły się narty. Początkowo nie służyły one do uprawiania sportów zimowych. Były praktyczną pomocą dla leśników i pracowników leśnych podczas przemierzania przez nich dużych odległości. Szybko okazało się, że takie udogodnienie bardzo pomaga w patrolowaniu górskich lasów.

Gdy zdano sobie sprawę, że narty umożliwiają bezpieczne i szybkie przemieszczanie się zimową porą po górach, zaczęto wykorzystywać je do spacerów i zjazdów z mniejszych gór. Później stały się nieodzownym wyposażeniem zimowego turysty. Z czasem zaczęto organizować zimowe spacerunki na nartach. Najpierw na krótkich trasach, później coraz bardziej wymagających, aż w końcu zaczęto organizować wycieczki i rajdy narciarskie. O wykorzystaniu nart w sporcie nie wspominać.

I tak zaczęto organizować rajdy narciarskie. Z czasem zaczęto je rozróżniać na typowe imprezy turystyki narciarskiej oraz na imprezy specjalistyczne. Zwrócono uwagę na fakt, że turyści narciarscy nie tylko są coraz lepiej wyposażeni, mają coraz lepszą technikę jazdy, ale że kusi ich coś więcej. I tak zaczęto organizować wysokogórskie rajdy narciarskie o zasięgu ogólnopolskim. Ze względu na fakt, że w naszym kraju nie mamy zbyt wielu pasm górskich, które w okresie zimowym stwarzałyby ekstremalne warunki dla narciarzy, za najważniejsze imprezy narciarskie przyjęto dwie. Pierwszą organizowano w Tatrach, drugą w Karkonoszach. Ponieważ pierwsza nie dotrwała do dzisiejszych czasów, ta karkonoska jest obecnie jedyną, a co za tym idzie najstarszą.



Ogólnopolski Rajd Narciarski Karkonosze w roku 2023 odbył się po raz 66. Organizatorem tej wyjątkowej imprezy jest Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze. Rajd ma na celu promocję terenu Sudetów Zachodnich jako obszaru narciarskiego, upowszechnianie turystyki górskiej, aktywny wypoczynek w zimowej scenerii gór, podnoszenie sprawności fizycznej oraz zdobywanie odznak turystyki narciarskiej. W PTTK funkcjonują: Górską Odznaką Narciarską; Popularną, Nizinną i Wysokogórską Odznaką Narciarską. Każda z nich ma wiele stopni.



Najważniejszym jednak podczas Rajdu „Karkonosze” jest integracja ogólnopolskich środowisk narciarskich. Nie ma bowiem nic cenniejszego jak wspólne pokonywanie zimowych szlaków, pomaganie sobie podczas występujących na szlaku problemów, dbanie o wzajemne bezpieczeństwo. Uczestnicy tras rajdowych, mimo iż są na koniec poddawani stosownej ocenie, nie rywalizują ze sobą „za wszelką cenę”. Nie o to przecież chodzi. Chodzi o to, by daną trasę przebyć razem, bezpiecznie i być zadowolonym zarówno z uczestniczenia na danym objeździe jak i z towarzystwa. Jeśli chodzi o bezpieczeństwo uczestników, to oczywiście nie są oni pozostawieni sami sobie. Nad ich bezpiecznym dotarciem do mety czuwa wykwalifikowana kadra PTTK. Każda trasa jest prowadzona przez Przewodnika Turystyki Narciarskiej, który nie tylko świetnie jeździ na nartach, ale także zna teren, potrafi udzielić pierwszej pomocy, a przede wszystkim potrafi dostosować trasę jak i jej przebieg do zmieniających się warunków atmosferycznych. Oczywiście nie ma tu mowy o żadnej dowolności. Uczestnicy rajdu są zobowiązani do bezwzględnego posłuszeństwa i wykonywania poleceń prowadzącego daną trasę. Od tego zależy nie tylko prawidłowy przebieg zaplanowanej trasy, ale nieraz zdrowie i życie jej uczestników.

Wspomnę tutaj, że Komitet Organizacyjny Rajdu to: Jan Jabłoński (komandor rajdu), Wanda Oryszczak (wicekomandor) oraz Andrzej Mateusiak, Janusz Perz i Barbara Wieniawska-Raj. Aby nie być gołosłownym co do fachowości prowadzących tras rajdowych powiem, że Jan Jabłoński nie dość, że wykazuje się nieprzeciętną umiejętnością jazdy na nartach, o czym świadczy fakt, iż na co dzień jest instruktorem nauki jazdy na nartach, to w przeszłości był skoczkiem narciarskim mającym na swoim koncie wiele sukcesów. W swojej karierze sportowej rywalizował na skoczniach z Ryszardem Witke i Wojtkiem Fortuną. Podczas tras typowo wspinaczkowych towarzyszył Jurkowi Kukuczce.

Po raz pierwszy wziął udział w 31. Rajdzie Karkonosze w roku 1985, wtedy jeszcze jako uczestnik. Jednak już w następnym roku pełnił funkcję „czerwonej latarni”, czyli osoby zamykającej trasę. W 1987 roku



pełnił już funkcję kierownika trasy, a od 45. rajdu został jego komandorem. Jak więc widać, prowadzący trasy rajdowe nie są ludźmi przypadkowymi i potrafią zapewnić bezpieczne przeprowadzenie imprezy.

Tegoroczny rajd odbył się w dniach 12-18 marca. Wyznaczone trasy przebiegały po polskiej jak i czeskiej stronie Karkonoszy oraz w Górach Izerskich. Trasę 7-dniową

na nartach ski-turowych prowadził Jan Jabłoński przy wsparciu Jerzego Michalaka, a trasę 6-dniową na nartach śladowych prowadziła Wanda Oryszczak z pomocą Marka Lencmana.

Ponieważ pierwszy raz w historii naszej imprezy wystąpiły problemy z noclegami, musieliśmy zorganizować oficjalne zakończenia w dwóch miejscach, dla każdej z tras w innym schronisku.

Trasa ski-turowa pierwszego dnia wyruszyła z Przesieki, z której to, dźwigając w plecakach całe wyposażenie, uczestnicy musieli w bardzo niesprzyjających warunkach dotrzeć na Przełęcz Karkonoską i do schroniska Odrodzenie.

Ze względu na niesprzyjające warunki atmosferyczne w kolejnych dniach wielokrotnie zmieniano zaplanowane trasy tak, by zapewnić uczestnikom bezpieczeństwo. To bowiem było dla organizatorów priorytetem. Drugiego dnia narciarze zjechali do miejscowości Špindlerův Mlýn, by nieco się pomęczyć, podchodząc przez dolinę Bílé Labe z powrotem do Odrodzenia. Nie muszę dodawać, że spore opady deszczu ze śniegiem w niczym nie przeszkodziły wyśmienitym wędrowcom. W kolejnych dniach narciarze pokonywali średnio 16-18 km, przemierzając ścieżki czeskich Karkonoszy. Po czeskiej stronie odwiedzili m.in. takie miejsca jak: Petrovka, Martinova bouda, Vosecká bouda, a po polskiej: Śnieżne Kotły, schronisko Pod Łabskim Szczytem. Po trzech dniach pobytu w schronisku Odrodzenie narciarze przenieśli się do schroniska Szrenica. Tam też miało miejsce podsumowanie rajdu, wręczenie nagród i upominków oraz pogadanka przybyłego na tę okazję prezesa Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” Krzysztofa Tęczy.

Trasa na nartach śladowych wyruszyła ze Szklarskiej Poręby, by dotrzeć do bazy w schronisku Orle. W następnych dniach narciarze wędrowali do Chatki Górzystów, na Stóg Izerski, Wysoki Kamień oraz na czeską stronę do Smědavy. Tutaj w zakończeniu uczestniczył wiceprezes Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” Andrzej Mateusiak.

Trzeba przyznać, że tegoroczny Ogólnopolski Rajd Narciarski Karkonosze należy uznać za udany. Fakt,



że w minionych latach w rajdzie brało udział nawet po kilka tysięcy uczestników, ale po dwuletniej przerwie spowodowanej pandemią uczestnictwo 60 osób jest dobrym początkiem na następne lata. Jako organizatorzy jesteśmy zadowoleni również z faktu, że w imprezie wzięło udział sporo młodszych osób, co dobrze wróży na przyszłość.

Dodam jeszcze, że po kilkuletnich próbach, w przyszłym roku planujemy uruchomienie trzeciej trasy. Będzie to wędrowka na raketach śnieżnych.

Zapraszamy zatem za rok.

*Krzysztof Tęcza
Zdjęcia na s. 50-51 Jan Jabłoński*

Wiadomości o Dolnym Śląsku z 1947 r. (23)

(Z dzieła Józefa Sykulskiego „366 wiadomości o Dolnym Śląsku – kalendarz i notatnik na rok 1948”)

Pod datą 8 maja:

Klementyna Hoffmanowa we Wrocławiu

W dniu 8 maja 1842 r. wyjechała z Paryża, po raz pierwszy w swym życiu koleją, Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, znana swojego czasu i poczytna autorka wielu powieści. Hoffmanowa przybyła do Wrocławia ... 28 maja! Nie mogąc pojechać do innego miasta polskiego, wybrała ona Wrocław jako miasto, w którym widziało się jeszcze i słyszało na ulicach polskość.

„Podczas pobytu mego we Wrocławiu muszę odszukać jak najwięcej śladów polskości tego grodu” – notuje pisarka w swym pamiętniku. Nazajutrz po przybyciu podziwia grobowiec Henryka IV, następnie udaje się powozem do Trzebnicy, aby zobaczyć grób św. Jadwigi i jej męża. Oglądając je, powie ze łzami w oczach: „Polski książę i polska księżna, więc jestem w ojczyźnie!”... Odwiedza też Hoffmanowa bibliotekę uniwersytecką, gdzie znajduje pierwsze wydanie „Zwierzyńca” Reja. Książkę tę za zezwoleniem kierownika biblioteki zabiera do domu i tu zaśmiewa się ze swoją siostrą z jędrnych powiedzeń polskiego autora.

Pod datą 11 maja:

Człowiek, który chciał porwać Fryderyka II króla pruskiego

Na linii kolejowej Wrocław – Kłodzko przez Boreczek i Strzelin znajduje się stacja Warkocz. Nie jest to rzeczownik pospolity, ale imię osobowe, należące do osoby barona Warkocza, który w czasie wojny siedmioletniej (1756-1763) planował, wspólnie ze Schmidtem, porwanie króla pruskiego Fryderyka II i oddanie go w ręce Austriaków. Plan ten nie udał się; gdyby jednak był zrealizowany, zmieniłyby losy Śląska (Fryderyk II należał do szeregu zacieklej germanizatorów Śląska).

Dnia 11 maja 1762 r. mieszkańcy Wrocławia byli świadkami dziwnej sceny: przed gmachem sądowym sędzia odczytał wobec wielu dostojników i zebranych tłumów wyrok śmierci na barona Warkocza i Schmidta, po czym powieszono... ich portrety na szubienicy. Tego rodzaju wykonanie wyroku śmierci nazywa się w nomenklaturze prawniczej powieszeniem „in effigie”. Zamiast powieszenia stosowano też spalenie portretu osoby skazanej.

Pod datą 13 maja:

Z dziejów Bierutowa

Bierutów leży nad rzeką Widawą. „Nazwa starosłowiańska, zarówno pień słowa ‘bier’, ‘biera’, los (gra w bierki), jak i przyrostek ‘ut’, ‘uta’ częste w imionach osobowych staropolskich, na przykład: Beruta, Bieruta, Borut, Bronut, Boruta itp. Nazwa Bierutów powstała prawdopodobnie w zamierzchłych czasach od imienia osadźcy, dziedzica Bieruta”.



Sanktuarium św. Jadwigi w Trzebnicy

Bierutów nawiedzały częste pożary, dlatego miasto nie mogło się należycie rozwinąć. Pożar w dniu 13 maja 1427 r. spalił w mieście wiele domów, a w 1603 r. od piorunów spłonęło doszczętnie w czasie strasznej burzy pięknie zbudowane miasto, tracąc wszystkie domy mieszkalne, kościół, szkołę i ratusz. W czasie wojny trzydziestoletniej miasto również paliło się: gdy w sierpniu 1647 r. stojącego w Bierutowie pułkownika cesarskiego Dewaky obległ generał szwedzki Wittenberg, Dewaky spalił przedmieścia i zbiorę, po czym Wittenberg zburzył doszczętnie mury i bramy miasta.

*Józef Sykulski
Wybrał: Janusz Fuksa*

Zbrodnia w gorczańskiej Ochothnicy

W przestrzeni naturalnej i społecznej naszego kraju są tysiące miejsc napiętnowanych zbrodniami niemieckimi z czasów II wojny światowej. To często są oznaczone w swoisty sposób miejsca pamięci, a co za tym idzie są one miejscami kultu i znakiem tożsamości lokalnej społeczności. Wydarzenia te są trwale zapisane w pamięci trwalszej niż dowody materialne.

Nie sposób ukryć, że wielu turystów i krajoznawców omija szerokim łukiem pomniki i miejsca pamięci przypominające o zbrodniach niemieckich i tragediach z czasów II wojny światowej. Nawet taki, jaki jest we wsi i centrum gminy **Ochothnica Dolna** u podnóża masywu **Gorców**. Kultowy pomnik (proj. Henryk Burzec) z 1964 r. przedstawia 20-letnią ciężko ranną w ucieczce do lasu Marię Kawalec - matkę z dzieckiem w objęciach, która zamarzła pod drzewem w noc 22/23 grudnia 1944 r. przed „Krwawą Wigilią”. Równie znikoma jest świadomość faktu, że w Krakowie są 23 pomniki papieża Polaka ...

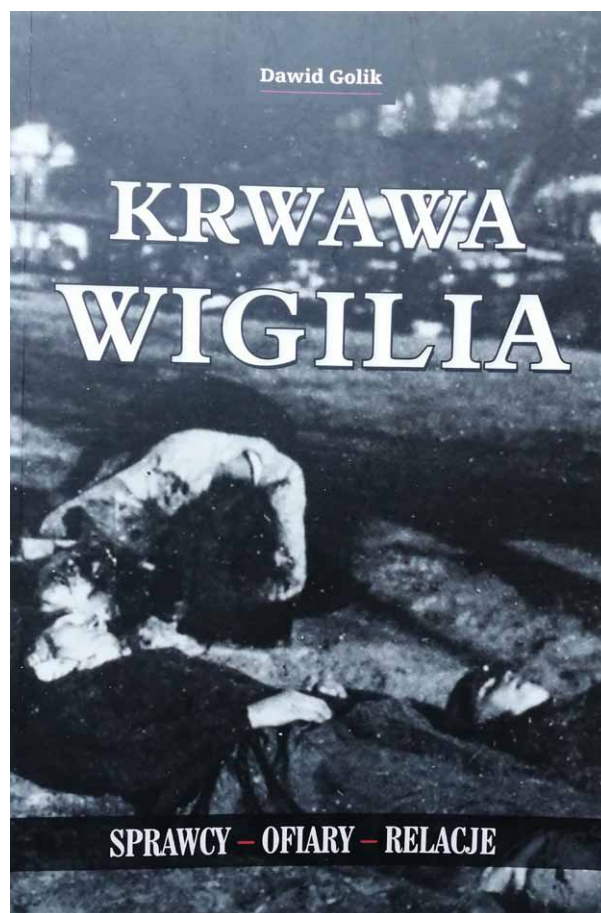
Zbrodnie w gorczańskiej wsi

„Krwawa Wigilia” w **Ochothnicy Dolnej** to nazwa pacyfikacji wsi Ochothnica Dolna w powiecie Nowy Targ dokonanej przez Niemców pod koniec II wojny światowej. Tego dnia oddział SS zamordował 56 mieszkańców Ochothnicy, w tym 19 dzieci i 21 kobiet. To była zemsta SS-manów za zabicie dwóch żołnierzy niemieckich przez partyzantów sowieckich bazujących w okolicy wsi. W ciągu ponad dwóch godzin zginęli prawie wszyscy członkowie rodzin **Chlupałów, Blachutów, Chryczyków, Kawalców, Dłubaczy, Rusnaków, Brzeźnych, Karczewskich**. Spłonęły remiza strażacka, dom ludowy i 32 gospodarstwa. To wydarzenie, jak tysiąc innych z tamtego czasu, jest symbolem nie tylko w lokalnej tradycji, ale także jednym z pamiętanych przez kolejne pokolenia jako znak ich tożsamości*.

Zbrodni w Ochothnicy Dolnej dokonała 23 grudnia karna kompania SS-Kampfgruppe Jagdkommando specjalnego przeznaczenia pod dowództwem SS-Untersturmführer Waffens-SS **Albrechta C. Matingena**. Składała się z żołnierzy różnych narodowości z 3. Dywizji Pancerniej SS Totenkopf i 4. Dywizji Grenadierów Pancernych SS Polizei oraz volksdeutschów z Polski, Rosji i Ukrainy. Stacjonowali w odległym o 14 km Krościenku nad Dunajcem. Dowodzący akcją nie poniósł żadnej kary, tolerowany cieszył się uznaniem władz RFN, zmarł w 1974 r. Ani on, ani żaden żołnierz z jego jednostki nie został osądzony za przestępstwa popełnione na terenie Polski.

Dzięki inicjatywie Wiejskiego Ośrodka Kultury i Urzędu Gminy Ochothnica Dolna ukazała się kolejna szczegółowa publikacja* dokumentalna o „Krwawej Wigilii” 22/23 grudnia 1944 roku.

Tomasz Kowalik



* Golik D., *Krwawa Wigilia – sprawcy – ofiary - relacje*, Ochothnica Dolna: Wiejski Ośrodek Kultury w Ochothnicy Dolnej, 2022, ISBN 978-63-965422-4-3

Nad morzem, na Monciaku, na molo

Sopoty w bardzo dawnym słownictwie polskim oznaczało miejsce mokre, grząskie, bagniste, gdzie zabłąkanych straszą utopce i dziwożony. Innymi słowy miejsce, którego trzeba się bać, z wielu powodów paskudne i niebezpieczne, żaden chojrak nie wytrzyma w takiej okolicy i towarzystwie. Nadmorskie sopoty to też szumiące małe potoki spływające z wysokiego brzegu do Zatoki Gdańskiej. Są pokrewne w swej istocie do szypotów kaskadowej rzeczki Tanew na Roztoczu dość odległym od Bałtyku.

Dziwożona jest postacią z legend słowiańskich, osobowością niezwykłą, ale na swój sposób międzynarodową. To po prostu dzika kobieta pamiętana z dawnych czasów w Słowacji, Czechach, Rusi, a nawet wśród Huculów – karpaccy pasterzy z połonin i naszych rodzimych górali tatrzańskich czy beskidzkich.

Archeolodzy mają kłopot z ustaleniem, kiedy zaczęła się ta wieś rybacka i skąd pochodzili jej pierwsi mieszkańcy. Nie ma szczątków warownego grodu ani malowniczych ruin. Pierwszy raz stał się modny i prestiżowy już w XVI wieku, kiedy zamożni gdańszczanie zaczęli budować tam swoje „domy letniskowe”. Sto lat później pojawili się pierwsi turyści. To szwedzcy żołnierze urządzający w swoich kwaterach hałaśliwe pijatyki. Minęły wieki, ale pewne rzeczy się nie zmieniły. Miasto, które od dawna ma oficjalnie status uzdrowiska, do dziś zmaga się z nadmiarem uciążliwych gości.

Sopot to jednak nie tylko polskie San Remo, czasami stolica piosenki i piosenkarzy z Opery Leśnej. O tym, jakie jest dziś, przez wieki decydowali Polacy, Niemcy, Kaszubi, Żydzi, napływający z głębi kraju poszukiwacze lepszego miejsca do życia, ludzie wielu talentów i umiejętności przydatnych na co dzień w gospodarce rolnej i w mieście częściowo portowym.

Takie i wiele innych ciekawostek krajoznawczych, m.in. początki sopockiego kąpieliska i uzdrowiska datowane na lata XVII stulecia, objaśniał kaszubski pomorski krajoznawca, autor przewodników Franciszek Mamuszka (1905-1995). Był współzałożycielem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Gdańsku i działaczem Ligi Morskiej. Od tego autora dowiadujemy się, że Sopot w średniowieczu miał zaledwie 12 zagród chłopskich, a w 1734 roku w tej wsi ukrywał się przed wrogami politycznymi nasz król Stanisław Leszczyński.

Pierwszym uznanym za promotora walorów kąpielowych i uzdrowiskowych Sopotu był francuski Alzatczyk Johan Georg (Jan Jerzy) Haffner, który zachwyił się tą nadmorską wsią w 1807 roku. W tym czasie panowali we wsi Francuzi, potem Rosjanie, a w 1814 roku Prusacy / Niemcy, zaś we wsi mieszkało tylko kilka rodzin żyjących z rybołówstwa.

Dziś zabytkowe urządzenia kąpielowo-uzdrowiskowe budzą zdziwienie i uśmiechy, to były wanny cynowe, miedziane i porcelanowe. W 1823 roku doliczono się i zapisano w kronice Sopotu pierwszy tysiąc kuracjuszy, a specjalny pawilon w okolicy dzisiejszego wejścia na molo zbudowano w 1830 roku. Teatr dla gości działał od 1843 roku. W 1859 roku pochlebny opis Sopotu stworzyła Narcyza Żmichowska, a w 1861 również pisarka Deotyma, czyli Jadwiga Łuszczewska.

Po kilkunastu latach w Sopocie pojawił się w 1888 roku Henryk Sienkiewicz, a w 1889 roku jako guwernantka Maria Skłodowska. Niebagatelne znaczenie miało nadanie wsi Sopoty chełmińskich praw miejskich w 1901 roku. Wtedy kobiety od plaży i kąpieliska morskiego musiały być oddzielone o kilkaset metrów od mężczyzn. Panie kąpały się w bardzo skomplikowany sposób – co autor tej książki dokładnie opisuje – bez przymrużania oka, ale z wesołym uśmiechem pobłażającym ówczesnym obyczajom. Zasada była twarda: żaden mężczyzna nie miał prawa oglądać kobiet w specjalnej sukni kąpielowej, „żółtym czepku kąpielowym z falbanką i z zalotną kokardą”.

Dla pełni obrazu warto przytoczyć autorski portret kuracjuszki zażywającej kąpeli morskiej: „Zastłonięta przez służącą prześcieradłami, kocami i ręcznikami, wchodziła do wody na tych kilka zalecanych przez lekarzy minut”. Do pełni obrazu uzdrowiskowego moczenia się w bałtyckiej wodzie wypada dodać: „Na południe



Tomasz Słomczyński

Sopoty



od stegu (mola)”, (czyli oddzielonych rewirów męskiego i damskiego kąpieliska – przyp. T.K.), *pośrodku tego odcinka plaży* (liczył blisko kilometr długości – jak opisuje to autor książki – *stali policjanci i pilnowali, żeby żaden pan nie ważył się nawet zbliżyć do łazienek damskich i odwrotnie*”.

Sopockie kąpielisko cieszyło się początkowo powodzeniem u gości z niemieckich Prus i Wielkopolski, a dopiero po zbudowaniu linii kolejowej zaczęli je odwiedzać goście z Kongresówki, głównie z Warszawy. Bywało, że ku uciechu gości niemiecka orkiestra uzdrowskowa za dodatkową opłatą grała „*Mazurka Dąbrowskiego*”, pomimo przepisów obowiązujących w zaborze pruskim.

Takie to były czasy i takie rozrywki, coraz bardziej zadziwiające i rzadko wspominane. Dotyczyły zasad i zachowań podczas koncertu jak i obrzędu obowiązującego amatorów kąpeli zdrowotnych w osobliwych strojach, korzystania z kabin kąpielowych – swego czasu było ich nawet kilkadziesiąt, ale pewnego razu sztorm bałtycki zlikwidował te budynki całkowicie, nie opłacało się ich odbudowywać. Ale bywało w Sopocie też i tak, że oprócz striptizu, kabaretu, do rozrywek po uruchomieniu kasyna coraz częściej [...] „*Niektórzy wczasowicze całe dnie i noce grali w brydża, palili papierosy i pili koniak*”.

Bywało, że w pobliskim parku zgrani do cna wieszali się na jakimś drzewie, jeżeli nie strzelili sobie w głowę w jakimś zakątku kasyna. Grand Hotel, do dziś miejsce kultowe, powstał niebawem jako siedziba kasyna w 1927 roku. Co najmniej z połowy okien hotelowych pokoi goście mogą spoglądać na morze. A miasto nałożyło na jaskinię hazardu w „Monte Carlo Północy” 30-procentową daninę na cele własnego rozwoju, złoty interes...

„*Następnie pospiesznie wracała do wozu* (to był konny wóz-kabina wjeżdżający do wody po kłęb i ogon konia – przyp. T.K.). *Tu odwiązywała wszystkie tasiemki i zrzuciła z siebie morski kostium, wycierała się i ubierała – najpierw bielizna, gorset... i tak dalej*”. Wóz wyjeżdżał na plażę, [„...] *dama całkiem ubrana, z parasolką w jednej dłoni a wachlarzem w drugiej, gotowa do obowiązkowego spaceru, niezobowiązującej konwersacji na promenadzie, posiłku – a wieczorem – przedstawienia teatralnego i balu*”.

Książkę Tomasza Słomczyńskiego* czyta się po kolejnej stronie z jeszcze większym zaciekawieniem. Jest to zarazem reportaż historyczny i przewodnik dla wnikliwego krajoznawcy. Trudno mi namawiać czytelnika do podróży do tego osobliwego miasta w Trójmieście, ale to najbardziej sensowna zachęta do poznania jego uroku, ciekawostek, walorów, tajemnic i współczesnych atrakcji. Oczywiście – jeśli taką podróż zechce sobie wpisać do kalendarza i... portfel wytrzyma nieodzowne wydatki.

Za przewodnika po kaszubskim kąpielisku – uzdrowsku mamy Tomasza Słomczyńskiego – bo „*Sopoty*” to również niemały kawałek własnego życiorysu sopocianina, który dopiero niedawno – bez podania przyczyn – przeniósł się do... Kartuz, czyli w nieodległe strony od rodzinnego miasta. Ta książka znakomicie uzupełnia niedawno wydaną opowieść Grzegorza Piątka „*Gdynia obiecana*”, czyli o mozolnie zbudowanym przed ponad osiemdziesięciu laty polskim „oknie na świat”.

Tomasz Kowalik

* Słomczyński T., *Sopoty*, Wołowiec: Wyd. Czarne, 2023, ISBN 978-83-8191-654-7



Pozwolenie na oddychanie, czyli głuszczenie i ludzie

Miłośnicy panujący na babiogórskich włościach Park Narodowy (narodowy?), biorąc pod uwagę szybko rozprzestrzeniającą się modę na narty turowe postanowił „zrobić dobrze” narciarzom i w swej łaskawości dopuścić turystykę narciarską na obszarze Babiej Góry. Opublikowano informację, którą środowisko turystów – narciarzy przyjęło zapewne z niekłamaniem entuzjazmem, pewnie nie zastanawiając się specjalnie nad przewrotnością owego komunikatu. Tak naprawdę było to „pozwolenie na oddychanie”, choć nie zawsze i nie w każdym miejscu. Podstawowe moje pytanie brzmi, na jakiej podstawie dyrekcja parku narodowego może pozwalać ma używanie nart na Babiej Górze bądź zakazywać ich używania? Jakoś do 4 lutego 2023 roku nikt nie wpadł na ten pomysł i narciarze, choć nieliczni jeszcze, wędrowali sobie na nartach na Markowe Szczawiny

z Krowiarek lub z Zawoi, a ci bardziej zaawansowani nawet babiogórskim grzbieciem i południowymi zboczami.

Jak to możliwe, że przez ponad 100 lat nikt nie wpadł na pomysł skodyfikowania turystyki narciarskiej na Babiej, turyści jakoś sobie radzili bez stosownego regulaminu i nic złego się nie działo. Wystarczały umiejętności turystyczne i narciarskie, a dawniej ... choćby *Przewodnik Narciarski Beskid Wysoki* Władysława Krygowskiego i odpowiednia mapa. To było w czasach, gdy w górach uprawiało się turystykę, a nie zwiedzanie parku. Dość wspomnieć, że w rejonie Babiej Góry Krygowski opisuje 10 turystycznych tras narciarskich w oparciu o znakowane szlaki piesze.

Prawda, że klasyczne narciarstwo ustąpiło narciarstwu zjazdowemu, a raczej przy-wyciągowemu i przez dziesięciolecia nikt na nartach na Babiej się nie pojawiał. Nieliczni turyści z nartami mogli jednak bez przeszkód korzystać choćby ze znakowanego kolorem czarnym szlaku narciarskiego odchodzącego od Górnego Płaju w kierunku Sulowej Cyrhli i dalej do Zawoi Podryzowane lub z zielonego szlaku narciarskiego do Zawoi Markowej, także zbiegającego z Górnego Płaju, ale z odcinka na zachód od Markowych Szczawin. Tylko kto o tym pamięta, na pewno nie współcześni pracownicy BgPN. Dla nich turystyka narciarska to raczej nowa moda, której trzeba wyjść naprzeciw i upchnąć ją w ramy przepisów. Pomyśleć, że oba wspomniane szlaki narciarskie figurują na mapach jeszcze w roku 2001. I komu to przeszkadzało? Istniały jeszcze po nowelizacji w latach 90-tych *Ustawy o ochronie przyrody* nadające parkom narodowym **szerokie uprawnienia**, dzięki którym przejęły szlaki turystyczne w granicach parków od PTTK, które stało się wasalem. Parki stały się też mądrzejsze od TOPR i GOPR w kwestii bezpieczeństwa w górach, co na Babiej przejawia się „zamykaniem” Perci Akademików na zimę. Przed zmianą *Ustawy* to goprowcy ustawiali w Kotlinie Suchego Potoku czarno-żółtą szachownicę z napisem UWAGA, LAWINY i na tym koniec, żadnego „zamykania” nie było.

Wróćmy do rewelacji sezonu, czyli do udostępnienia babiogórskich szlaków dla narciarzy. Regulamin zawiera ciekawe, a nawet odkrywcze pomysły. Fragment pierwszy: **Udostępnienie obszaru Parku do poruszania się na nartach możliwe jest jedynie przy odpowiedniej pokrywie śniegu oraz z zapewnieniem ochrony zwierząt.** Ale odkrycie! Trzeba było to napisać, bo jeszcze ktoś spróbowałby iść / jechać na nartach, gdy śniegu jest za mało, ale co ma do tego ochrona zwierząt - nie wiem. Ma tyle samo, co w przypadku poruszania się po szlakach w samych butach – bez nart. Dalej czytamy: **Osoby poruszające się na nartach po trasach narciarskich zobowiązane są do zachowania należytej staranności w celu ochrony życia i zdrowia własnego i innych osób** (...), tu następują szczegółowe przepisy, co następuje: **należy dostosować swoje zamierzenia i plany do umiejętności, aktualnych warunków atmosferycznych, prognozy pogody, komunikatu lawinowego (...), stosować się do zaleceń i ograniczeń wynikających z zagrożenia lawinowego.** Mnie się zawsze wydawało, że to jest oczywiste i nie ma potrzeby pisać o tym w jakimś regulaminie. Chyba przeciętny człowiek, nawet bez wysokiego IQ wie takie rzeczy, jeśli nie, to znaczy, że ma skłonności samobójcze. Chodziło zapewne o tzw. zabezpieczenie tył.a, czyli odpowiedzialność cywilną parku. W razie czego jest w regulaminie, pisaliśmy, ostrzegaliśmy. To tak, jakby pod każdym znakiem „teren zabudowany” dodać tabliczkę „nie jeździć samochodem po chodnikach”. Przecież



Turyści – narciarze na Górnym Płaju (2022 foto: J.W.)



I gdzie tu odejść na 30 m od szlaku? (Górny Płaj 2022 foto: J.W.)

wiadomo, że po chodnikach się nie jeździ. Co jeszcze: **Osoby poruszające się na nartach zobowiązane są do (...) używania sprzętu odpowiedniego do podejmowanej aktywności.** Przepraszam bardzo, czy do uprawiania narciarstwa ktoś chciałby użyć wrotek albo łyżew? Ktoś tu daleko „popłynął”. Według parkowego regulaminu **należy też niezwłocznie informować służby GOPR o zaistniałym wypadku lub zaginięciu osoby (...)** To chyba też jest tzw. oczywista oczywistość. Dalej czytamy, że **na trasach narciarskich obowiązuje zakaz poruszania się pieszo.** Sęk w tym, że wyznaczone na Babiej trasy dla narciarzy pokrywają się ze szlakami pieszymi w 80%. Jedyne odcinki trasy wyłącznie dla narciarzy to zjazd z Sokolicy na Krowiarki i z Dejakowych Szczawin do Zawoi Markowej terenem, gdzie żaden pieszy i tak nie pójdzie, bo utknie w śniegu, nie ma tam żadnej ścieżki, nikt tam ani nigdy nie chodził, ani nie chodzi. Po co zakazywać czegoś, co z racji warunków terenowych jest niewykonalne? Najciekawszym punktem regulaminu jest następujący: **Dla turystów poruszających się na nartach dopuszczalne jest odejście od szlaku na odległość do 30 m w każdą stronę dla zapewnienia bezpieczeństwa. W przypadku szlaków wspólnych odstępstwo od szlaku dotyczy wyłącznie turysty poruszającego się na nartach.** Jak oni to obliczyli, że dla zapewnienia bezpieczeństwa wystarczy odejście na 30 m? Podziwiam precyzję w określeniu tej odległości od szlaku. W narciarskiej praktyce jest tak, że narciarz sam wybiera teren, na którym może się bezpiecznie poruszać. Czasami bywa tak, że znając przebieg szlaku, kontroluje się kierunek, ale idzie / jedzie się szerokimi zakosami dużo dalej od właściwego przebiegu szlaku. To z mojego doświadczenia, a teraz podeprę się cytatem ze wspomnianego wyżej przewodnika, podeprę się autorytetem turystycznym i narciarskim, pewnie już zapomnianym, ale autorytetem. **Znakowanie jest w zimie ogólną wskazówką kierunkową i orientacyjną, lecz drogę podejścia lub zjazdu dobiera się zawsze zależnie od aktualnych warunków śniegowych i terenowych.** Tyle Władysław Krygowski. Co do administracyjnych ograniczeń działalności turystycznej w rejonie Babiej Góry to Krygowski pisze o tych wynikających z przepisów granicznych. Tylko, że przewodnik wydano w roku 1953. Dziś mamy 2023, inny ustrój społeczny i polityczny, ale za to jakie fajne przepisy. 30m w lewo, 30 w prawo i ani kroku dalej.

Konkluzja. Wolałbym, może nie tylko ja, aby parki narodowe zajmowały się tym, do czego zostały powołane – ochroną środowiska przyrodniczego i naturalnego krajobrazu oraz badaniami naukowymi, a nie mnożeniem kolejnych regulaminów. Ostatnio jakoś ta ochrona parkom nie wychodzi. Gdzie się da, stawiają płyty, krawężniki na górskich ścieżkach, budują schody, tarasy widokowe, brukują przełęcze, układają worki na szlakach (w Tatrach), równają leśne drogi, by łatwiej wywozić ścięte drzewa, pozwalają na budowę parkingów w otulinach (Krowiarki)..., a potem narzekają, że setki samochodów dymią na przełęczy, tysiące ludzi dziennie wchodzi na teren parku i śmieci, hałasuje i sika, gdzie się da. A kto ich tam wpuścił, kto im to ułatwił? Chciałoby się powiedzieć: zaufajcie trochę turystom, a górom dajcie spokój.

Mogłem pisać o tej babiogórskiej rewelacji już w lutym, ale musiałem nieco „przetrawić” ów regulamin, by pisać na spokojnie, bez niepotrzebnych emocji i... inwektyw. Jeszcze taki cytat: **Komunikat turystyczny z dnia 23.03.2023. Informujemy, że od dnia 1 marca 2023 r. obowiązuje zakaz poruszania się na nartach po szlakach BgPN.** Dalej czytamy, że powodem jest **ochrona głuszca.** To ja czegoś nie rozumiem. Kilkaset osób przemierzających w każdą sobotę i niedzielę Górny Płaj z Krowiarek na Markowe nie szkodzi głuszcowi, ale gdyby pojawiło się kilku narciarzy, to byłoby jakieś zagrożenie. Na koniec zagadka. Czym różni się głuszczyk mieszkający pod Babią Górą od głuszca żyjącego w Beskidzie Sądeckim między Runkiem a Halą Łabowską? Pytam, bo tam, choć tablice głośzą, że jest to jego ostoja, nikt turystom w butach czy na nartach chodzić nie zabrania. Może jakiś przyrodnik zechce to wyjaśnić?



**Sądecki głuszczyk i turyści w okolicy Runka
(foto: Teresa Łękawa-Wysłouch)**

Juliusz Wysłouch

Borowy Jar, Bobrowy Jar czy Bobrzański Przełom?

Nazwa Borowy Jar jest powszechnie akceptowana i nie budzi dzisiaj żadnych emocji ani skojarzeń. Tylko nieliczni krajoznawcy wiedzą, że nazwą urzędową jest Bobrowy Jar. Nazwę Bobrowy Jar wprowadzono Rozporządzeniem Ministra Administracji Publicznej z dnia 2 kwietnia 1949 r. (MP nr 29, poz.445). Nigdy nie była zmieniana i nadal formalnie obowiązuje. W takim razie skąd wziął się Borowy Jar? Jest to pomysł Tadeusza Stecia, który pierwszy zauważył, że KUNM popełniła błąd, wyprawdając nazwę od bobra europejskiego zamiast od rzeki Bóbr. Nazwa powinna mieć formę Bobrzański Jar na wzór Krosna Bobrzańskiego. Na dochodzenie się z KUNM pan Tadeusz nie miał najmniejszej ochoty. Ponieważ w tym czasie pisał przewodnik „Jednodniowe wycieczki z Jeleniej Góry” wydany w 1959 r., który był rozszerzeniem wcześniejszego opracowania z 1952 r., zdecydował się na małą modyfikację i zmienił w nazwie urzędowej jedną literę. Zakładał, że cenzura to przeoczy. I tak się stało! Nazwa Bobrzański Jar nie miała na to szansy, bo za bardzo rzucała się w oczy. Nazwa Borowy Jar przeszła przez cenzurę jako „kontrolowana pomyłka” i natychmiast nabrała mocy urzędowej. Figurowała nie tylko w przewodniku z 1959 r., ale wkrótce na trzecim wydaniu mapy „Karkonosze” PPWK w 1962 r., co ugruntowało jej podrobioną historię. Ale wnikliwy S. Rospond umieścił w 1970 r. Bobrowy Jar w swoim słowniku. T. Steć był bardzo dumny z wykiwania cenzury, o czym mi w latach sześćdziesiątych XX w. opowiedział. Ale to nie jest koniec problemu z nazwą, ponieważ zestawienie zawiera człon „jar”. A Bańkowski w swoim etymologicznym słowniku (2000 r.) nazywa jar – wąwozem, parowem. Każdy geograf z takiej opinii roześmieje się szeroko. Bo wąwóz to suche rozcięcie erozyjne, a tutaj mamy do czynienia z przełomem epigenetycznym rzeki, co podkreśla tom 4. SGTS na str. 80 w haśle Borowy Jar. Chodzi oczywiście o przełom, który rzeka wycięła z ominięciem Gap, który przypomina kanion. Tak więc prawidłowa nazwa powinna mieć formę Bobrzański Przełom albo Bobrzański Kanion. To wszystko kojarzy się z karkonoską nazwą „Wąwóz Kamieńczyka” z uporem lansowaną przez mapy i nie tylko... Tam z kolei chodzi o Gardziel Kamieńczyka. Dawno temu zauważyłem, że najtrudniejsze do usunięcia są zawsze najgłupsze nazwy i jest to raczej problem socjologiczny, a nie onomastyczny. Co do artykułu to powstał on dzięki przewodnikowi Marka Staffy „Wędrówka przez Sudety Zachodnie (1)” wydanego przez Wydawnictwo PTTK „Kraj” w 1982 r. Na str. 15 przewodnika pod hasłem Jezioro Modre czytamy: niewielkie, ale bardzo malownicze jezioro zaporowe na Bobrze w Bobrowym Jarze... Autor tekstu po 40 latach nie przypomina sobie powodu użycia takiej nazwy, co z kolei mnie zainspirowało do napisania powyższego wyjaśnienia.

Jerzy K. Bieńkowski

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki"
przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Zofia Wiatrak**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wysłouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Pik,
Jacek Mielcarek, Sebastian Jakobsch, Mirosław J. Barański



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca
i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów,
przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu
i reklam wewnątrz numerów
na odrębnie uzgodnionych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931